



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50. W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

GŁOS KOBIET W OPINII PUBLICZNEJ.

Z wyjątkową czcią, z wyjątkową troskliwością zbiera Anglia puściznę myśli po zmarłym swym myślicielu i pisarzu; prócz nowych wydań dzieł Carlyle'a, prócz licznych studiów, tak nad nim samym jak i płodami jego pióra, korespondencya prywatna mędrca z Chel-sea jest przedmiotem niesłabnącego nigdy zajęcia, i zanim, zebrana w jedną całość, razem wydana zostanie, dzienniki drukują pojedyncze listy, z których każdy z bogactwa rzeczywistości umysłowość angielską jakimś głębokim i zawsze oryginalnym poglądem na ludzkość i jej sprawy. List ogłoszony niedawno w *Timesie* a będący dalszym ciągiem korespondencyi z 1871 r., przeprowadzonej przez Carlyle'a z senatem Uniwersytetu Edynburskiego w kwestyi praw kobiety, dotyka przedmiotu bardzo wielkiej wagi dla społeczeństwa: udziału kobiet w wyrokach opinii publicznej. Carlyle nie był stronnikiem emancypacyi kobiecej, a nawet, jak czytelnicy nasi przypominają sobie z listu jego, w sprawie medycznych studiów kobiecych¹⁾, uważał ruch w tym kierunku za objaw anarchii moralnej w społeczeństwie. Ale umysł ten, niepodległy i bezstronny, nie mógł odsądzić kobiety od udziału w życiu społecznym, w którym właśnie przez rodzinne znaczenie swoje, przez stosunki towarzyskie, w których panuje, zajmuje stanowisko bardzo ważne. Prawo głosowania do parlamentu odmawia jej, nie chce jej widzieć ani wybierającą, ani wybraną, „bo ta sfera polityki nie jest dla kobiety; nie zgadza się z jej usposobieniem, z jej naturą, którą tylko ze-

psuć, w przyrodzonej jej piękności oszpecić i wykrzywić musi“. Nie zdaje się zatem przystawać dla niej nawet na te ograniczone prawa wyborczosci, które Mill przyznawał kobiecie samotnej, rodziny nietworzącej i lakonicznie a stanowczo rzecz rozcina określeniem: „This is not womanish...“ Ale kobieta ma, a nawet powinna mieć, prawo głosu niemniej ważnego: prawo głosu w opinii publicznej i tego rozumnej a uczciwej zrzec się nie godzi. Carlyle schodzi się tu ze zdaniem Żmichowskiej, że tylko istoty bezmyślne, albo zasklepione w egoizmie spraw własnych, ciasno pojmowanych, mogą pozostać obojętnymi na złe i dobre, gdy to ich wręcz nie dotyczy, i kto tylko nie mieści się w tej kategorii, kto tylko myśli i czuje żywo, musi wydawać w różnych kwestjach życiowych ten sąd swój, który razem wzięty stanowi głos opinii publicznej. Gdzie jej niema, opinii—niema moralności, bo niema tych ideałów moralnych, ogółowi drogich, których odstąpić nie można bezkarnie, czyli bez urażenia uczuć większości. Kobieta—zdaniem Carlyle'a—przez wrodzoną swą żywość uczucia rzadkokiedy bierną tu pozostaje, i tam gdzie mężczyzna ze względu na interes własny, na stronnictwo polityczne, do którego należy, często milczy i obojętnie na stronie się trzyma, ona głośno wybucha, idąc za porywem serca, za nieprzytłumianem wezwaniem sumienia, które w każdej nieepsutej jednostce ludzkiej, oburza się na złe a dobremu poklask daje. Dowodem tego jest każdy czyn wyższej szlachetności, lub podłości jakiejś publicznie na placu lub ulicy spełniony: w zbiegowisku, które się wtedy tworzy, kobiety pierwsze miejsce zajmują i one-to najzapamiętałej lżą sprawcę czyjejś krzywdy, tak jak drugostronnie okazują najgorętsze uznanie temu, który wspomógł nędzarza, okazał litość nad sierotą, ujął się za niewinnością bezbronną przesładowaną. Powtarza się to na wszystkich stopniach wyrazu opinii, oile rzecz, którą sądzić trzeba, przystępna jest pojęciu tych, którzy sąd

wydają; i na pochwałę natury kobiecej przyznać trzeba, że większość nie rachuje wtedy, na skutki się nie ogląda i oile potrafi, jest sprawiedliwą.

Przyznając przecież, że właśnie ta uczuciowość kobiet, która najsilniej tu działa, często w pojedynczych wypadkach sprawiedliwości przeszkadza i rozumu do działania nie dopuszcza, niemniej Carlyle obstaje silnie za głosem kobiety w opinii publicznej. Nietylko ma do niego prawo, ale potrzeba jest społeczeństwu, aby go się nie wyrzekała. Ogół straciłby na tem, bystrość obserwacji kobiecej tak jest wielka, że mężczyzna daje jej często nazwę intuicji, instynktu, i dlatego nie mylą się one tam, gdzie on oszukiwanym bywa długo, gdzie często pozostaje zaślepionym do końca, i jak kobiety prawie zawsze wielkiego człowieka pierwsze odgadną, uznają, pomoc swoją mu dadzą, tak złe pobudki w czynach ludzkich prędko poznać umieją i posiadają jasnowidzenie charakterów.

Bywa to często niebezpieczną bronią w rękach kobiet złych, bo umieją zręcznie korzystać ze słabych stron tego, kogo zwieść, obalamucić pragną, i w tem leży powód wielu niewytłomaczonych upadków mężczyzny w stosunku do złej kobiety. Ale druga kobieta nie tak łatwo da się intrygantce opętać i w błąd wprowadzić. Nawet ufna i z natury niepodejrzliwa, nie ulega tam, gdzie mężczyzna zostaje bardzo prędko pokonanym. Carlyle tłómaczy to przez delikatność uczuć kobiecych, które ztąd posiadają wyższą tkliwość na fałsz i te właśnie są w sądach swoich najtrafniejsze i prawdę najdoskonalej widzą, kłamstwo najprędzej odgadują, które od tego kłamstwa stoją moralnie najdalej. Udawanie, podstęp, przybieranie fałszywego pozoru tak im jest wstrętne, jak dla pewnych delikatnych organizmów wonie szkodliwe: znieść ich nie mogą, odczuwają je zdaleka i chronią się przed niemi.

Carlyle był mężem kobiety dobrej, kobiety uczciwej, i ztąd tak doskonale zbadał, doskonale zro-

1) Kronika działalności kobiecej, „Bluszc“ Nr 11.

zumiał kobiecość szlachetną. „Wśród intryg stronnicych, wśród sieci krzyżujących się interesów, jest to anioł stróż mężczyzny“, pisze i spotyka się tu znowu ze Żmichowską, z jej pięknym, prostym, szeroko pomysłowym wierszem o kobiecie. U Carlyle'a jest to też pieśń prawie, jest to poezja: mężczyzna który ma przywiązaną do siebie a szlachetną, tkliwą, poświęconą mu kobietę, nie przestaje nigdy wierzyć w cnotę, w miłość, w ofiarę i wierność, stałość uczuć. „Przez jej serce widzi piękność świata“.

Czy nie przez serce kochającej dostrzegł on sam tę, również opiewaną przezeń, choć bez pomocy rymu i rytmu, piękność gwiazd i piękność róż — piękność spokojną, czystą, prostą? Sam namiętny, prawie dziki, przeciwnych właśnie przymiotów żąda od kobiety, od tej „która na słodki, piękny, niemal święty sposób, może być królową świata“. Chce aby się „oddała cicho pod opiekę“ tego, którego ukocha. Żąda od niej przecież, nietylko wdzięku i słodyczy: pragnie „mądrości i heroizmu“ ale nie lubi lwic. Kobieta namiętnie wrzącego serca, staje się prędko „a wild being“. Takie kobiety uważa za mało wierne swemu powołaniu i przeznaczeniu, które mają spełniać „przy sile i razem słabości swojej“. Zdaje się, że to, co pisze, jest paradowalnym, tak napozór sprzeczne są ze sobą owe różne żądania, ale trzeba się wczytać uważnie w słowa jego, a wystąpi to inaczej. Nie on jeden łączył w kobiecie siłę ze słabością. To, co ma pozór słabości: uległość, słodycz, tkliwe poświęcenie istoty swojej dla szczęścia ukochanego, jest właśnie, według niego, który jest doskonałym znawcą kobiety, siłą i heroizmem: bywa wierne, bywa stałe, nie przemija „jak upał, po którym następują burze“.

Wszak gwiazdy świecą tylko na pogodnym niebie: i on też żąda od kobiety, aby dawała życiu pogodę. Mężczyzna ma się gdzie burzyć, ścierać, walczyć, i dlatego jego energia, której tam potrzebuje, w miłości chce się uciszyć „jak fale, które wracają do łóżyska swego po wzruszeniu gwałtownem“. Prawdziwy mężczyzna kocha też długoletnią, z czasem nieprzechodzącą miłością tylko prawdziwą kobietę. Carlyle pisze to wyznaniem przekonań swoich co do kobiety z okoliczności jej pragnień emancypacyjnych, głosowania publicznego do wyborów parlamentu, że zaś te przekonania jego są takie a nie inne, odpowiada pytającym go logicznie, że „jest to rzecz nie-kobieca“. Zniszczyłaby piękność, oszpeciła, wykrzywiła naturę kobiety.

Ale drugostronnie dając prawo innego i bardzo ważnego głosu kobiecie, którą bynajmniej nie gardzi, której nie upokarza i istotą niższą od mężczyzny nie czyni, żąda tu dla niej swobody i usiłuje znieść ograniczenie, jakie mężczyzna stawia jej bez znajomości rzeczy i niesprawiedliwie.

Mężczyzna podejrzewa zwykle o stronność każdy sąd kobiety, wydany o kobiecie drugiej i widzi w nim zawisłość, lub interes. My, — pisze z tego powodu Carlyle: — my, sądzimy mężczyzn innych w krytykach literackich, w rozprawach politycznych, sądzimy nieraz bardzo ostro, namiętnie, mamy jedni nad drugimi wielki wyrok historyi, a ledwo że zupełnie już nieuczciwemu ktoś osmieleł się zarzucić, iż nim powodują przychyny tajne i osobiste, gdy tymczasem czynimy to względem kobiet bardzo łatwo i nierządkiem. Wprawdzie my-to wtedy jesteśmy prawie zawsze stronni, bo najczęściej sąd kobiety o kobiecie jest dla nas niewygodny lub obrażający, jeżeli nie uczucie nasze, to miłość własną. Mylimy się niezmiernie łatwo, sądząc tę połowę rodzaju ludzkiego. Nietylko namiętność miłosna, ale upodobania, jakie w nas budzi kobieta ładna i podobać się umiejająca, oślepią nas, a przynajmniej mąci wzrok o tyle, że nierządkiem bardzo licha ale zręczna wodzi na pasku wysoce mądrego i niepospolitego mężczyzny, działając na niego przez te sposoby ponęt zalotnych, które go upajają. Usłyszy w takiej chwili o uwielbianej przez siebie, lub takiej, którą uwielbiać byłoby nam przyjemnie, sąd ujemny, jest to doznać przykrości i zarazem zostać upokorzonym w miłości własnej: więc też, chcąc dowieść, że nie jesteśmy zaślepieni, że się nie mylimy, wolimy oskarżyć: najszlachetniejszą matronę, najzacniejszą matkę rodziny,

kobietę, która nie splamiła się nigdy podstępem, lub wygórowanym egoizmem, podejrzewamy niejednokrotnie, że działa, jeżeli nie ze złą wiarą, to z uprzedzeniem zazdrośnym. A cóż do dopiero gdy wzburzy się w nas namiętność? Obląkani uważają zwykle siebie za zdrowych i przytomnych, a lekarza za waryata, lub działającego pod wpływem interesu i przekupstwa.

Wprawdzie kobiety same przyczyniają się do wyrobienia tego stanu rzeczy: lekkomyślne, zalotne, te które przestały już być szanowanymi, zwykle oskarżają inne kobiety o zazdrość i odwołują się od ich sądu, do sądu mężczyzny — których usiłują czynić interessowanymi.

Gdy przecież kobiety uczciwie odtrącają od siebie takie, żyjące poza prawem moralnym, lub nadwyrężające go, mają słuszość za sobą i choćby były w postępowaniu swem surowe, ostre, niech nikt nie powstaje na to. Godzi im się tak czynić, bo czyż nie kobieta jest w społeczeństwie strażniczką cnoty i dobrych obyczajów: wstydu, uczciwości rodzinnej? Jak niegdyś kapłanki w świątyni Westy, tak teraz kobiety zacne strzedz powinny ołtarzy najświętszego ognia, który musi pozostać czystym, jeżeli złe nie ma zapanować nad dobrem.

Carlyle wtrąca tu mimochodem zdanie, że kobieta nie kochająca, zalotnica, z wyrachowania zarzucająca sieci swoje na ludzi wpływowych, umie to czynić właśnie lepiej, niżeli ta, której serce jest pełne miłości. Spostrzegawczość, wrodzona bystrość kobieca dopomaga jej właśnie, która chłodną bądąc, umie korzystać ze słabych stron charakteru mężczyzny. Wyrachowany opór, który podnieca namiętność, przybiera często pozory ofiary, wstydlivości, najrozmaitszych pobudek szlachetnych: odpycha się, aby wkrótce przyciągnąć, tak zręcznie jednak, że zdaje się to mimowolnym i ujarzmia ostatecznie, bo oszukany widzi w tem tryumf, z którego jest pyszny. Słaby zaś, którym się chce rządzić na sposób odmienny, daje się ująć przez pozory pokory, słodyczy, uległości bez granic i tak dalej. Nie kochająca ma po swej stronie wyższość krwi zimnej.

Mędrzec z Chelsea zakończy rzecz zdaniem: że kobiety tworzą opinią moralną tak, jak tworzą obyczaje, i biada narodowi, w którym braknie głosu kobiety, wznoszącego się tu z siłą i godnością. Messalina była niewątpliwie pobłażliwą, lecz Arrya tak poważnie surową, jak była czystą i wzniósłą.

M. I.

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Dziwna rzecz: jak trochę powodzenia psuje człowieka, jak tu wszyscy potrzebują grać komedją jakąś, aby się na stanowiskach utrzymać; ile jest kunsztu w życiu. Więcej może niż w samej sztuce. Wielki istotnie artysta... do którego wprosić się chciałam, otoczony jest tyłą formalnościami, że się doń, jak do monarchy, o audyencją dopraszać potrzeba. Przyjmuje potem mileczący, pogardliwy, zajęty sobą, okazując jawnie, że ludziom na jego wysokości stojącym drogiego czasu kraść się nie godzi. Ani pięciu minut jałmużny. Zastałam mistrza przy staludze; nie raczył się obejrzeć zrazu na mnie. Malował, lub chciał okazać, iż maluje.

Odwrócił się ku mnie, głos mój usłyszawszy, popatrzył na moją zbiedzoną postać, od stóp do głów mnie oglądając, uśmiechnął się, zamruczał coś i dał mi do zrozumienia, że uczniów, ani nawet uczennic, nie przyjmuje wcale.

Jakiś uśmiech sarkastyczny, obrażający, cy-

niczny, którym mnie przy ostatnim wejrzeniu obdarzył, zmusił mnie do opuszczenia pracowni. Z pewnością do niej nie powrócę. Znalazłabym tu wprawdzie mistrza, ale chciałabym razem znaleźć człowieka.

Niéma pono ludzi nad Francuzów skłonniejszych do pychy i zarozumiałości. Wielkość Francji, jej stanowisko na czele narodów cywilizowanych, odbija się w każdym z jej dzieci. Sławny we Francji mniema się jednym z wielkich ludzi należących do świata całego. Wszystko, co obce, wydaje mu się barbarzyńskim, małym. Paryżanin pogardza prowincją: cóż dopiero tudziemem! Poza granicami tego kraju może być godnego, nie już mierzyć się z Francuzem i Paryżaninem, ale śmieć przystąpić do niego?

Może to właśnie przekonanie o swojej nicości zmusza do takiego nadymania się. Istotna wielkość, czująca pewną wartość swą, nie potrzebuje nadstawiać się i tak stroić śmiesznie.

Ze wszystkim tu, nawet z utrzymaniem życia zwierzęcego, potrzeba się oswoić, przywyknąć. Ludzie tu czem innym i inaczej żyją niż u nas; dzień upływa inaczej. Zrana nie mogą kazać sobie przynosić śniadania; muszę zejść do licej kawiarni o parę domów od mojego; aby tam dostać kawy i przekąski jakiej. Wracam potem na moje piąte piętro i pracuję w domu. Stosując się do tutejszego obyczaju, drugie śniadanie jem znowu w tejże kawiarni, a po niem aż do wieczora czas mam wolny, i do tego, co się tu obiadam, a u nas wieczorzą, zowie. Jest to najobfitszy posiłek. Po nim już praca ustaje; Paryż się bawi, pełne teatra i kawiarnie, biura zamknięte, sklepy oświecone, bulwary wrą życiem do późnej nocy. Ja, po moim obiedzie za parę franków, powracam do mieszkania najczęściej, gdyż — niestety — kobiecie samej wieczorem wyjść — naraża na nieprzyjemności.

Ludzie wszystkich stanów, jak widzę, pracują pilno; ale też to, co się zowie rozrywką, zabawą, roztargnieniem, jest im potrzebne koniecznie. Wszyscy aż do wyrobnika, którego czas jest drogi, bawić się muszą po rozmaitych dla wszystkich klas społeczności miejscach uprzywilejowanych do rozrywki. Teatrzyki, kawiarnie, piwiarnie, cyrki, przechadzki, szynki w wieczornych godzinach pełne. Widzę je tylko zdaleka, gdyż nigdzie się nie osmieliła nogą wstąpić. Nie lubię i boję się ścisłku; tłum mnie przestrasza.

Ale są ogrody prawie puste i ławki, jeśli się za krzesło płacić nie chce i nie może, bo tu, począwszy od kościołów do ogrodów, za siedzenie płacić wszędzie potrzeba. W niektórych ogrodach bawią się dzieci, bawią bony w towarzystwie panów wojskowych, i przechadzki użyć można swobodnie.

Jestem trochę jeszcze niepewną: co pocnę, jak urzędę przyszłość. Rozpatruję się, szukam jakiegoś natchnienia i skazówki, wierzę w to, że bezradnej istocie Opatrzność przychodzi w porę z myślą, którejby ona sama nie znalazła w sobie.

Przechodząc bulwarami kilka dni temu, pod jednym z tych namiotów, które przed każdą kawiarnią są rozpięte dla tych, co chętnie na widoku być i widokiem się zabawiać pragną, spostrzegłam siedzącego przy szklance absyntu, czerwonego ziomka z pofarbowanymi włosami. Chciałam ominąć go, udając, że nie poznaję, lecz poskoczył za mną z młodzieńczą żywością i przywitał. Twarz miał jeszcze bardziej zarumienioną niż pierwszym razem i wąs starannie wygumowany.

— Szanowna rodaczka nie poznaje mnie? rzekł z uśmiechem pełnym galanterii.

— I owszem — rzekłam — chcąc się oddalić.

— Pozwoli pani spytać, jakże też Paryż?

— Nic jeszcze o nim powiedzieć nie mogę.

— Skarby sztuki...

— Tak! nieprzebrane — rzekłam kłaniając się.

— Nie mogę w czem ofiarować usług moich? — zapytał. Pora jeszcze nie przyszła?

Skłoniłam się tylko, chcąc się go pozbyć.

— Przekona się pani, iż tu bez protekcji i stosunków wszystko nader trudne. Naówczas szczęśliwym będę...

Wymknęłam mu się. Kręcąc wąża, powrócił do swojego absyntu.

Chciałam chociażby spróbować: czy mi się jednego z moich dawnych obrazków sprzedać nie uda. Gospodyni moja, pani Belcour, stara, otyła, gadatliwa kobiecina, która z artystami wiele w życiu, jak powiada, do czynienia miała, dała mi adresy i tych u których, tanio mogłam się opatrzyć w potrzebne mi przybory, i—nawet handlujących obrazami.

Do jednego z nich, wybrawszy godzinę, gdy się nikogo znaleźć nie spodziewała, poszłam nie z potrzeby, lecz dla przekonania się: czy kiedyś w potrzebie sprzedaż będzie możliwą.

Zaniósł mi niewielkie płótno, krajobraz niby klasyczny, rzecz dosyć słabą, z kilku figurkami na pierwszym planie. Mnie ta próba nie zaspokoila, ale mój dawny nauczyciel znajdował ją dosyć udatną.

W sklepie ciemnym, zarzuconym płótnami, bardzo małej lub żadnej wartości, podartymi, zasmolonymi, w ramach i bez ram, znalazłam brudniejszego jeszcze od tego, co go otaczało, małego człowieczka w aksamitnej czapeczce na głowie, z kawałkiem cygara niedopalonego w ustach, w rodzaju szlafrocza nieodgadnionej barwy. Po marszczona, żółta jego twarz, skrzywiona i kwaśna, niewiele dobrego wróżyła. Około niego uwiła się dziewczynka nad wiek swój żwawa i roztropna, niepiękna, mizerna, zabrukana, ale gadatliwa i czynna, jakgdyby już dzieckiem się wcale nie czuła.

Stary handlarz nie wstał nawet, zobaczywszy mnie przychodzącą z obrazkiem w ręku.

Na zapytanie moje nie odpowiedział ani słowa, nie zdawał się nawet mieć ochoty spojrzeć na to, co mu przynosiłam. Ociężałam rękę zasmoloną wyciągnął, wziął robotę moją, popatrzył i zapytał:

— Cóż to jest?

Oglądał ją na wszystkie strony, płótno ztyłu, ramkę, ówiczki, potem malowanie i obojętnie oddał napowrót.

Dziewczynka ciekawie zajrzała także i zrobiła minę znawczyni, grymas lekceważenia.

Czekałam; stary milczał i zbierał się zapalić zgasłe cygaro. Nie miał najmniejszej ochoty nabycia.

Spytałam: Czy-by mi coś chciał dać za to, i ile?

Ruszył ramionami tylko i potrząsnął głową. Zpod powiek drżących oczy zbladłe więcej pono mnie niż przyniesiony obrazek examinowały.

Niemogąc się doczekać odpowiedzi, sięgnęłam po płótno moje, które na stoliku leżało. Miałam odchodzić, gdy usłyszała mruczenie:

— *Quinze sous!*

Spojrzałam nań zdziwiona; usta skrzywił.

— Nie Rafael-to ani Poussin—dodał szydersko.

Nie wdając się w dalszą rozprawę, szłam powoli do drzwi, gdy dziewczynka schwyciła mnie za suknię.

Stary zażądał raz jeszcze widzieć obrazek.

— Któż to robił?—zapytał.

— Ja—odpowiedziałam krótko.

Spojrzał na mnie.

— Ah!—rzekł krótko.

Nie wiedziałam już co mam począć; czekałam jeszcze, gdy, ręką potrząsając, dodał:

— Trzy franki!

Dziewczynka powtórzyła zanim dobitnie i nastawliwie, z podziwieniem nad szczodroblivością dziadunia.

— Trzy franki!

Stałam smutna. Nie potrzebowałam jeszcze, dzięki Bogu, tych trzech franków, nie byłam zmuszoną do sprzedaży, ale mi się zrobiło smutno. Wyobrażałam sobie kogoś innego na moim miejscu. Obrazek, zły czy dobry, dużo jednak czasu zajął, a był wypracowany serdecznie. Samo płótno z ramką więcej pewnie nad trzy franki kosztowało.

Wzięłam je z rąk dziewczynki, która już tę zdobycz opanowała była, pewna, iż się im dostanie. Potrząsnęłam głową i chciałam odejść.

Stary za mną śmiał się szydersko.

— Poproście gdzieindziej: nie dadzą wam su-

sa—rzekł—Człowiek ma litość. Trzy franki! Trzy i cztery lata czekać będę, zanim się na to znajdzie kupiec, jeżeli się znajdzie.

Wskazał mi na rozstawione płótna.

— Sprzedam wam większe i lepsze za tę cenę—rzekł.

Dziewczynka ciągnęła mnie za suknię; odeszłam z temi trzema frankami, nie w rękę, ale na sercu.

Byłam za progiem, gdy dziewczynka mnie napędziła.

— Pół franka wam narzuci—rzekła—ja go namówię.

Lecz, niesłuchając jej, powróciłam do domu.

Jednego wieczora hrabia Kanty siedział w salonie z żoną. Była to szara godzina i służba jeszcze światła nie wniosła.

Hrabina Alfonsyna, sparta na rękę, patrzyła w okno, z twarzą nad swój zwyczaj zaszepioną i czołem pofalowanym. Hrabia, nieco opodał wygodnie rozparty w fotelu, zdawał się, po ukończeniu rozmowy przykrej, pogrążonym w jednym z tych zadumań, do których był nawykły, myślą biegając po szerokim świecie, co stanowiło dlań, jak wiemy, najulubieńszą rozrywkę. Oczy bez wyrazu obracały się, nie patrząc, zwolna, machinalnie. Znużony był i zmęczony.

Małżeństwo znajdowało się w jednym z tych momentów krytycznych, które się rozpoczynały sporem a kończyły zwycięstwem hr. Alfonsyny, lub, jak teraz, partją jakąś nierozegraną. Nie było tu ani zwycięzcy ani zwyciężonego: hrabina siedziała, zwątpiwszy; hrabia był zrezygnowany i przybity—ale nie przekonany. Wrazie poddania się zwykle opuszczał plac boju. Pozostanie na miejscu dowodziło, iż zahukany, nie ustąpił wszakże.

Z drugiego pokoju razy kilka ukazała się główka panny Cecylii, nieznacznie zaglądającej, aby się przekonać: czy konflikt rodzicielski już był skończony, czy jeszcze im czas zostawić należało, aby pokój zawarli?

Lecz ani hrabina, patrząca w okno, ani hrabia rozglądający się po suficie, nie zdawali się skłonni do podpisania traktatu.

Hr. Alfonsyna wzdychała czasem; hrabia sapał pocichu.

Upłynęło kilka minut w milczeniu. Hr. Kanty, któremu rozmyślać o niebieskich migdałach było nierównie dogodniej we własnym pokoju—zwolna zabierał się wstać i pocichu wyjść z salonu, gdy żona, postrzegłszy to, odezwała się kwaśno:

— Ale przecież coś postanowić potrzeba. Tak to pozostać nie może. Julek...

— Julek jest dobry chłopiec, ale z pozwoleniem, osioł—odezwał się hrabia. Tyle czasu nadaremnie w Warszawie, takie koszta i z tego wszystkiego nic. Examinu nie zda! Cóż dalej?

— Śmiesznym jesteś—odezwała się hrabina dosyć gwałtownie. Niepodobna wymagać od chłopca wysiłków nadludzkich. Pedantyczna nauka—nie jego rzecz. Natura go inaczej stworzyła i do tego się zastosować należy. Nie będzie on mniej umiał od ciebie i od innych, ale go inaczej uczyć potrzeba. Ludzie tacy, jak Julek, któremu wcale na zdolnościach nie zbywa....

— Do czego?—zapytał hrabia.

— Do tego, do czego są przeznaczeni—przerwała gniewnie hrabina.—Do czego? do tego, aby w świecie się umieć znaleźć i odegrać przeznaczoną rolę. Do czego?—co to za pytanie?—Przerwał mi. Julek ma zdolności, ale on się z książek i słęczenia nie nauczy nic. Świat, otarcie się, podróże, towarzysstwo: to dla niego szkoła.

Hrabia prychnął i ruszył ramionami.

— Więc cóż?—zapytał—bo ja cię, duszeczko moja, doprawdy nie rozumiem. Wyrzec się więc uniwersytetu, a....

— Po co mu uniwersytet? po co?—odparła hrabina. On ma instynkt tego, co mu jest potrzebne. Wyślij go z Buczyńskim.

— A! z Buczyńskim!—powtórzył hrabia... hm... Hrabina zabierała się wystąpić przekonują-

co i obróciła się do męża energicznym ruchem, zwracając jego uwagę na siebie, gdy Celina wbiegła, mocno poruszona i zarumieniona.

Matka spojrzała na nią, dając jej poznać, że przerwała rozprawę nie w porę.

— Hrabia Zygmunt!—słowo daję!—hrabia Zygmunt przyjechał!

To czarowne imię zarówno na rodziców jak na córkę oddziało. Spór został zapomniany, hrabia Kanty poruszył się ku drzwiom, hrabina wstała i do zwierciadła poszła, a Celina znikła uśmiechnięta.

Odwiedziny hr. Zygmunta, który od bardzo dawnego czasu nie pokazywał się tutaj, mogły być tylko wytłómaczone zwrotem szczęśliwym usposobień jego dla Celiny. Dlatego i ona i rodzice wiadomośc tę z taką powitali radością.

Gdy hr. Kanty już na spotkanie wychodził, Zygmunt stał w progu.

Hrabia witał go z nadzwyczajną serdecznością. Sama pani nawet kilka kroków zrobiła naprzeciw niego, a twarz jej świeżo posepna, tak się rozjaśniła i złagodniała, iż całkiem zmieniła charakter. Można ją było wziąć za najdobroduszniejszą z niewiast.

Zwrócone na Zygmunta oczy obojga gospodarstwa, po długim niewidzeniu dostrzegły w dawniej wesołym, swobodnym, kwitającym młodzieńcu zmianę uderzającą.

Hr. Zygmunt był jakby zestarzały, smutny, blejszy, zastygły jakiś, obojętny. Witał się bez uśmiechu, mówił cicho; zdawał się roztargnionym.

Cesia, której niesłychanie pilno było go widzieć i wyjść do salonu, miała jednak tę kobiecą rachubę strategiczną, iż—wolała się trochę spóźnić. Instynktowo też wiedziała, że okazywać zbytnej wesołości, nadto się narzucać, nie wypadało.

Gdy po długim, z bijącym sercem wyczekiwaniu w drugim pokoju, uznała, iż moment psychologiczny do ukazania się nadchodził, wybiegła tak doskonale obojętna, niby zmuszona—iż matka nazwała ją w duszy—niezrównaną. Domyślała się bowiem dobrze, iż ta postawa obrachowana być musiała.

— O! to kochane dziecię!—pomyślała w sobie.

Hrabia Zygmunt przywitał ją bardzo grzecznie, ale nieokazując też najmniejszego wzruszenia.

Rozmowa naturalnie była o tej podróży, z której hrabia powracał; ale o niej gość nie opowiadać nie chciał czy nie umiał, zbywał pytania półsłowami. Wędrowka, jak powiadał, miała się przeciągnąć dłużej, sięgnąć dalej, lecz—hrabia nie czuł się do niej usposobionym. Powrócił z Drezna.

Cesia zapytała o piękności stolicy i okolicy; hr. Zygmunt przyznał się, że oprócz muzeów i galerij nic nie widział.

Znajdowano go dziwnie smutnym; przy herbacie, którą podano zaraz, mówił mało.

Ponieważ w salonie hrabiny palić nie było można, kobiety się wysunęły, i zostawiając mężczyzn w jadalni z cygarami, wróciły, czekając na nich, do okrągłego stołu w salonie.

Po wyjściu ich, hrabia Zygmunt, wstał, oglądając się dokoła.

— Wiem—rzekł cicho—że los synowicy obchodzi pana. Przypadkiem spotkałem się z nią w Dreźnie.

Hr. Kanty ruszył się z krzesła.—Wiadomość ta wywołała mu lekki na twarz rumieniec; ujął hrabiego pod rękę.

— No cóż, co? proszę mówić!—zawołał. Wistocie jestem jej opiekunem—sierota. Interesuje mnie, ale postąpiła sobie z nami, z rodziną, tak cudacko i bez taktu. Ja i żona moja chcieliśmy coś dla niej obmyślić, ale uparta, dziwaczna. Ja nie winię jej samej: to mój biedny brat tak ją nieszczęśliwie wychował.

Mówił jakby tłómacząc się, przerywanym wzdychaniem głosem. Zygmunt słuchał z uwagą.

— Cóż robi? jak się jej powodzi? jest w Dreźnie? dodał Kanty.

— Była w niem przynajmniej, gdy ja opuściłam—począł Zygmunt—oile wiem, w położeniu bardzo przykrem, podobno nawet w niedostatku.

Kanty się poruszył mocno.

— Widziałem ją raz tylko, i to na bardzo króciuchną chwilę — mówił dalej Zygmunt. — Była bardzo smutną, zmienioną; widać na niej co przecierpiała.

Dopytywałem artystów, którzy ją znają. Dziwne jakieś wieści krążą, kobieta sama jedna, młoda, niedoświadczona, bez opieki, w tym świecie artystycznym, z różnych indywiduali złożonym, narażoną jest na plotki, na paplaniny.

Kanty ręce załamał.

— Ale jakże tu radzić na to? — zapytał.

Zygmunt się zadumał chwilę.

— Kochany hrabio — rzekł — zawsze to jest synowica wasza, bliska krwią. Są obowiązki.

— Ale ona jest tak samowolna — przerwał hr. Kanty.

— Przywiązaną jest do was — rzekł poważnie Zygmunt. — Wybyście przecież, szczególnie teraz, gdy smutne przebyła koleje, mogli wpłynąć.

— Ja? — zawołał Kanty, — ale jakże? Pisać? Nawet adresu mi nie dała? — Jechać?

Zygmunt głową dał znak, iż jechać było koniecznym.

— Podróż do Drezna — rzekł — nie jest tak nadzwyczajną ofiarą. Sami-byście się rozerwali.

Kanty potarł głowę i czoło, wzdychał.

— Jechać! jechać! — powtórzył strapiiony — ale ja ręczę, że z niczem powrócę.

— Spróbować — dodał Zygmunt — nie będziecie mieć przynajmniej na sumieniu nic. Nie wiem szczegółów, nie mogłem badać, przedemną mówić — by była o sobie nie chciała; ale od innych artystów dowiedziałem się, że ciężkie, bardzo ciężkie, przebyła koleje.

Nie mógł i nie chciał się jaśniej tłómaczyć hrabia Zygmunt; zamilkł, patrząc na nachmurzoną twarz Kantego, który się głęboko zadumał. Nie ulegało wątpliwości, iż w tej pierwszej chwili wysłał o synowicy, lecz ręczyć nie było można, by znarowiona do błąkania się bezładnego, myśl wprędce nie pobiegła do stajni i na pola. Biedny hrabia Kanty, równie nad nią, jak nad żoną, panować nie umiał.

Milczeli długą chwilę.

— Jako artystka — rzekł hr. Zygmunt — mogę powiedzieć, oile się na tem znam, iż znakomite uczyniła postępy. Miała obraz bardzo ładny na publicznej wystawie.

Kanty i ucieszył się i zasmucił.

— Jakto? — spytał — na wystawie? na sprzedaż?

Zygmunt milcząc to potwierdził.

— Ja wiedziałem, że to się na tem skończyć musi — rzekł smutnie Kanty. — Ściborzance żyć ze sprzedawanych obrazów!

— Imienia swego nie podpisuje na nich — rzekł Zygmunt.

Kanty desperacko ręką machnął.

— Wprawdzie — rzekł cicho — nawet nie mówiąc mojej żonie, bo to ją irytuje do zbytku, mógłbym pod pozorem przeprowadzenia Julka, który mi się rwie za granicę, dojechać do tego Drezna. Ale co to pomoże! uparta.

— Któż wie, teraz-by się może przekonać dała — szepnęła Zygmunt.

— Gdyby nawet — dodał Kanty — co dalej? co dalej? U nas mieszkać nie chciała.

Zbliżył się tuż do ucha gościa.

— Nie mówiłem o tem nikomu, ale dla oczyszczenia się z zarzutu obojętności, wam zwierzyć się muszę. Miałem dla niej projekt najwłaściwszy, najpiękniejszy. Gotowem był na potrzebne się zebrać wyposażenie i umieścić ją u Kanoniczek. Dla Ściborzanki, nie było to z ujmą godności rodziny... ale...

— Mówiliście jej o tem?

Kanty poruszył ramionami.

Hrabia Zygmunt nie dał znaku ani przyzwolenia, ani opozycji.

Kanty przechadzał się niespokojny.

— O tem nic przed moją żoną — dodał błagająco. — Nerwową jest, irytuje ją to, drażni. Los sieroty mocno ją, jak mnie, obchodzi. Jechać do Drezna...

Przerwał rozmowę i zadumał się.

— Zmizerniała? zbiedniała? — zapytał — straciła tę dystynkcyą, jaką miała?

— Jest zawsze i tak piękną i tak dystyngowaną jak była — odparł Zygmunt — lecz cierpienie, walka, sieroctwo, życie wśród obcych, nie mogły przejść bez śladów.

— Ściborzanka! mój Boże! Ściborzanka — odezwał się Kanty z zapalem — powiedzcie sobie, że córka mojego rodzonego brata, której on mógł być zapewnić los najświetniejszy, z jego winy!

— Dajmy pokój umarłym — przerwał Zygmunt. Nieboszczyk był najszlachetniejszym z ludzi; nie mógł przewidzieć....

— Podobnym był do tej córki — zawołał Kanty. Ja mu zawsze zły koniec przewidywałem. Świat chciał przerobić; roily mu się ideały.

Zbyt długie zatrzymanie się w jadalni niepokoiło już panie, i hr. Kanty lękał się też, aby się czegoś nie domyśliły. Cygara były na dopaleniu; wstali milczący.

Hrabina po twarzy męża, który się z niczem ukryć nie umiał, poznała zaraz, że rozmowa przedłużona ważną być musiała i niewesoła. Łatwo się jej było dorozumieć, że powracający z zagranicy hr. Zygmunt, mógł przywieźć jakąś wiadomość o tej nieszczęsnej Ludmile, której nienawidziła.

Najsmutniejszym to było, że się nią zajmować nie przestał.

Wkrótce potem, za ledwie przemówiwszy słów kilka, hr. Zygmunt wstał, aby się pożegnać, nie chcąc być zatrzymanym na wieczernę, pomimo uśmiechów i półsłówek panny Cecylii.

Gdy hr. Kanty, który go przeprowadzał do salonu, zasejpony powrócił, czekała go już z zapytaniem żona.

— Przysięgnę, że coś ci przywiózł o tej niegodziwej twej awanturnicy, Ludmile.

Odgadnięty hr. Kanty, chociaż się zdradził pomieszaniem pewnym, nie przyznał się odrazu.

— Gdzie? co? — odparł.

— Nie kłam przedemną — proszę! — zawołała, żona, rzucając się na kanapę.

Kanty, ręce w tył założywszy, chodził nie odpowiadając.

— Przysięgam, że nowych z naszej strony ofiar będzie potrzeba — mówiła hrabina. To było do przewidzenia. Puściła się w świat, zaawanturowała, a my ją z tego kału wydobywać będziemy musieli; ale z góry zapowiadam, że gdy wróci, ja do mojego domu jej nie przyjmę.

Odpowiedzi i na to nie było. Hrabina patrzyła na męża, usiłując odgadnąć: co myślał i czy się nie omyliła? Znała nadto Kantego i zbyt była przebiegłą, aby o trafności przypuszczenia swego wątpić mogła. Kanty milczał uparcie. Chciał z serca pomódz, poratować synowicę, nie wiedział jak. Jechać do Drezna? a żona?

Stanął przed oknem, począł o tem myśleć, ale przeleciał wróbel i myśli jego za wróblem pobiegły; liście na drzewie poruszały się u jednej gałęzi, gdy na drugiej stały jak wryte — dlaczego? Potem pokazał się dym z poza gestwiny i z dymem poszła myśl ku obłokom, tak, że hrabia wpadł w zwykłe swe, przyjemne, osłupienie.

Żona gniewała się, że jej nie słuchał ani chciał odpowiadać.

— Ale o czem-że myślisz? — zawołała, tupiąc nogą zniecierpliwiona.

Kanty, w tej chwili z dymu przeszedł był przez jakąś niepojętą *associatio idearum* do Julka — i odparł:

— Myślę o Julku. Cóż finalnie z tym osłem zrobić?

— Proszę cię, tylko bez tych przydatków — przerwała hrabina.

— Ja go niemniej kocham niż ty — rzekł niezważając hrabia — ale martwię się nim. Nic z niego nie będzie.

Wpatrzyła się w niego długo i ostro Alfonsyna i z gniewem wybuchnęła:

— Będzie z niego najmniej to, co z ciebie!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Paryż dzisiejszy w czasie Wielkiego Postu. — Kościół Notre-Dame de Paris i konferencye wielko-postne ojca Monsabré, Dominkanina. — Portret tego sławnego kaznodziei; rodzaj jego wymowy, układ kazań i główne przymioty talentu. — Jeszcze ex-ojciec Jaccenty i nowe jego niepowodzenie w dążeniu do zawładnięcia kościołem Wniebowzięcia N. Panny. — Nowatorstwa literackie. — Pan Zola. — Nowa jego książka — Zwolennicy „Mistrza z Medanu“. — Hennique i jego nowe powieści. — Naturaliści i Natura. — Dramat sądowiczy przed Trybunałem w Nancy. — Dwie katastrofy ogniowe: Teatr w Nicei i Magazyn *Au Printemps* w Paryżu.

Paryż, w Kwietniu 1881 r.

Myslałem nieraz, że mógłby to być list bardzo ciekawy, dający opis, jakby pewnego rodzaju pielgrzymki, oprowadzającej czytelnika po przedniejszych kościołach w Paryżu w czasie Wielkiego Postu. Małeńki szkic świątyni każdej, z dołączeniem w kilku rysach pobieżnych: portretu kaznodziei, rodzaju jego wymowy i właściwego kazdemu z nich talentu, wpływu, wziętości — mógłby utworzyć całość bardzo ciekawą i ponętą.

Przez wzgląd na czasy, w jakich dziś żyjemy, podobny list byłby zarazem odbiciem prawdziwego stanu religijności we Francji i pewnym rodzajem pamiętnika, objaśniającego ten punkt szczególny z historii naszego czasu. Ale rzuciwszy pierwsze tylko zarysy takiej korespondencji, postrzegłem się, że byłaby ona za obszerną, dla mnie, któremu zakresło naprzód granice działania, kategorycznym bowiem imperatywem dla moich listów, jest raczej wielka różnaitość krótko streszczonych przedmiotów, niżeli rozciągły rozbiór jednej, choćby i bardzo ważnej, rzeczy.

Przecież, jak powiadają Francuzi, idąc za dawnymi jeszcze Rzymianami: „Kto może więcej, może i mniej“. Niemogąc objąć całości, ograniczę się do jednej jej części, a że ta część jest najwybitniejszą, posłuży to za miarę ogólnego poglądu na ogół. Idźmy więc spojrzeć na to, co się odbywa w kościele metropolitalnym, w Paryżkiej Katedrze Najświętszej Panny — Notre-Dame de Paris.

Samo już wspomnienie nazwy tego kościoła, obudza w myśli obraz znajomej i wszystkim znanej rzeczy. Sławny romans Wiktora Hugo przeleciał jakby nowe życie w dawne, zamierzchłe tradycje i głębiej wyrzył w pamięci ludzkiej imię i obraz poważnego średniowiecznego przybytku.

Dla tych, którzy nie byli w Paryżu, i dla tych, którzy, będąc w Paryżu, nie byli u Najświętszej Panny, powiedzmy zaraz, że sławna katedra nie jest, ani największym, ani nawet najpiękniejszym pomnikiem średniowiecznej architektury. Niemówiąc już o Włoszech, Hiszpanii i Niemczech, w samej Francji jest kilka kościołów wspanialszych i piękniejszych aniżeli Notre-Dame de Paris. W Chartres, w Bourges, w Rouen naprzykład, znajdujemy pomniki nierównie piękniejsze co do szczegółów, czystsze co do stylu i wspanialsze co do rozmiarów. Ale tak się już stało, że nawet o Francji niema co gadać Francuzom, którzy, wymawiając z właściwym sobie akcentem: *Notre Dame de Paris!* rzecz już stanowczo rozstrzygają. Niema co z nimi już dalej rozprawiać; uwielbienie dla katedry potrzeba przyjąć za słowa Ewangelii. Dla Każdego Francuza kościół Najświętszej Panny jest najpierwszą katedrą na świecie całym.

Z fotografii, z rysunków, zewnętrzny widok tego kościoła znany jest wszystkim; szczególnie od czasu jak z rozkazu Napoleona III, dokonana została zupełna restauracya budowli, według najdawniejszego planu. Niewdając się więc w architektoniczne opisy, ani frontonu, ani dwóch wież narożnych, ani olbrzymiej środkowej strzały — wejdźmy do wnętrza.

Ogromna nawa świątyni, przedzielona na trzy części, dwoma rzędami ogromnych filarów, z których strzelają wspaniałe ostrołuki, tworzące sklepienie, jakby splecione z gałęzi potężnych, olbrzymich jodeł lub sosen. Nawa ta uderza swoją wielkością, ale zarazem przejmuje chłodem, który otacza ciało i przenika do duszy, spadając, jakby

całun jaki, z tych wyżyn, zimnych i ciemnych, szarego kamienia.

Daleko, daleko w głębi, ledwie dojrzany, widnieje wielki ołtarz. Wieczyste posępne cienie, zalegają wszystkie kąty, a niepewne światelko, i to chyba w dzień jasny, słoneczny, z trudnością przenika przez malowane szyby, wąskich długich okien. Żadnej ławki, żadnego krzesła, które się ustawiają tylko w czasie nabożeństwa i ważniejszych ceremonij kościelnych. Pustynia! i serce napełnia od pierwszego kroku, uczucie jakiejś świętej trwogi—*Sacro terrore!*

Lecz oto jesteśmy tu w dzień, a raczej w wieczór nauki, konferencji—tak zwanych we Francji.—Nauka, kazanie czy jak chcesz to nazwać, odbywa się w czasie Wielkiego Postu o wpół do ósmej wieczorem. Kaznodzieją tegorocznym był, jak zwykle od lat kilku, ojciec Monsabré, Dominikanin.

Obchód ten zmienia cokolwiek wewnętrzną fizjognomi katedry. Krzesła, fotele, ławki, wypełniają całą środkową nawę, w środku której, po prawej stronie, wznosi się ambona dębowa, sporządzona przy ostatniej restauracji kościoła i wcale, ani artystyczna, ani piękna. Miejsca te, to jest pięć czy sześć rzędów krzeseł, oddane są publiczności, i przed godziną siódmą zwykle, tu już wszystkie zajęte. Trzy zaś rzędy krzeseł i tyleż foteli ustawione są nawprost ambony; wynajmują się zwykle naprzód, są nawet prenumeratorem stali, na cały post, i dochód z nich wpływa do kasy, tak zwanej fabrycznej i idzie na utrzymanie budowli kościoła. Wszystkie te miejsca, w czasie konferencji ojca Monsabré, jak mówiłem, są wczesnie zajęte; prenumeratorem sami tylko, pewni miejsc swoich, przychodzą na oznaczoną godzinę kazania.

Kazanie poprzedza zawsze zwykle niesporne nabożeństwo, na którym się też kończy cały ten obchód. Po skończonym śpiewie psalmów, ściśle o oznaczonej godzinie, wchodzi na ambonę sławny kaznodzieja — i zaraz głębokie zapanowuje milczenie.

Średniego wzrostu, dobrej tuszy, mający lat blisko czterdzieści, ojciec Monsabré, w białym habicie i czarnym płaszczu, ma postać śmiałą, krok pewny, twarz okrągłą, o zwyczajnych ale wydatnych rysach, włos ciemny, miękki, głowę swobodnie podniesioną w górę — i w każdym swem poruszeniu znamionuje, że na tej ambonie jest na swoim, dobrze sobie znanym i niewzruszonym gruncie.

Głos kaznodziei jest donośny, czysty; ale mu braknie owych metalicznych dźwięków, które są najwyższą harmonią wysokiej wymowy; braknie mu również w rejestrze głosowym nut i dźwięków niższych. Ztąd pochodzi pewna jednostajność, którą cieniuje zlekka, bardziej ważność i rozmatłość przedmiotów i myśli, aniżeli siła uczucia.

Ojciec Monsabré jestto uczony i potężny dyalektyk — prawdziwy syn Zakonu, którego nosi sukienkę i wierny uczeń Świętego Tomasza z Akwinu. Kazania jego, obmyślane głęboko, ułożone i napisane starannie, są prawdziwym wzorem w swoim rodzaju. Język, niezmierniej czystości i poprawności, nieposzlakowana ortodoksja wspierają krasomówcze przymioty ojca Monsabré, i można go śmiało nazwać jednym z wytwornych, wzorowych prozaików kościoła katolickiego w dzisiejszej Francji.

Kazania ojca Monsabré, jak już mówiłem, przygotowane naprzód w cichej ustroni klasztoru, opracowane sumiennie, nie mają, i mieć nie mogą wcale, tego charakteru potężnych i gwałtownych improwizacyj, jakich spodziewamy się zwykle, idąc słuchać wielkich, znakomitych mówców. Są to raczej traktaty, rozprawy, raczej rozumne, przekonywające dowody potężnego dyalektyka, aniżeli gorące i porywające czyny piorunującej wymowy.

Obdarzony niezmierną pamięcią, ojciec Monsabré wygłasza swoje kazania z taką swobodą, z taką umiętnością wysłowienia, że ani się spostrzedz można, iż to jest czyste recytowanie z pamięci. Francuzi, dla których sztuka pięknego wysłowienia jest rzeczą najmiłą w życiu, zachwycają się niezrównanym darem wymowy znakomitego Do-

minikanina. Mnie kazania ojca Monsabré nie zaspokajają serca, duszy mojej. Myle się może, ale mi się zdaje, że gdyby, zamiast tych rozumnych i głębokich wywodów teologicznych, słowo Boże opowiadane było przez tak potężnego mówcę, z tą prostotą i z tem nieprzygotowaniem, z jakim je opowiadali Apostołowie, wpływ, wrażenie na ten tłum dzisiejszych faryzeuszów i niedowiarków byłby daleko większem i bardziej stanowczem. Dla mnie ojciec Monsabré jest może wielkim kaznodzieją, ale nie jest wielkim mówcą.

Zachowanie się kaznodziei na ambonie jest pełne godności. Ruchy powolne, regularne, bez żadnej przesady i gwałtu; czasem tylko, w pewnych rzadkich cowilach, lubi ojciec Monsabré, zbliżając obie ręce ku sobie i kołysząc je zwolna, powszednim tym ruchem zaznaczać mocniej pewne wyrażenia, którym stara się nadać wyraz poufałej i jakby przyjacielskiej, dobroduszej rozmowy. Jestto oznaka tej zacności i słodyczy charakteru, która stanowi główny przymiot mówcy w powszednim, codziennym życiu. Ale to są drobne pyłki tylko na tej wielkiej i pięknej postaci — i po ojcu Lacordairze jestto bez zaprzeczenia największy mówca, jakiego słyszeliśmy każącego z tej ważnej ambony Najświętszej Panny Paryskiej. Powiadam największy mówca; bo co do ex-ojca Jacentego, tegom zawsze uważał raczej za aktora, niżli za kapłana-myśliciela.

A teraz, słuchając tych szczytnych i wymownych słów Dominikanina, i patrząc na tę starą, ogromną bazylikę zalaną tłumem samych prawie mężczyzn rozmaitych kondycyj, bo kazania ojca Monsabré, poświęcone są wyłącznie dla mężczyzn; myślę sobie w duszy: ku czemu i do kogo są wymierzone te prześladowania religijne, na które patrzymy we Francji i jaka jest liczba niedowiarków, która praktykuje takie zboczenia uczuć i myśli? Kościoły przepełnione ludem: tysiące tysięcy przystępuje do komunii. Cóż to jest, jeśli nie wiara; co jeśli nie ona lud ten wiąże do ołtarzy?

Wspomnieliśmy o ojcu Jacentym, zanotujemy tu nowe niepowodzenie tego reformatora w dążeniu do przywłaszczenia sobie którego z kościołów paryskich. Wspomniałem już wam dawniej, jego zamiary co do Kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Panny (de l'Assomption) przy ulicy Św. Honorjusza, w którym mieści się dotąd jeszcze missya XX. Zmartwychwstańców. Korzystając z usposobienia dzisiejszej rady miejskiej, pan Jacenty Loison ponowił swoje formalne żądanie objęcia w swą władzę tej filii parafialnego kościoła Magdaleny. Pomimo jednak przyjaznego wiatru, który wieje w stronę wszelkiej herezyi. Rada Muncypalna odrzuciła żądanie kacerza i kościół od profanacji ocalony został. Musi więc p. Jacenty poprzestać na teraz na skromnej szopie przy ulicy *d'Arras* tuż w moim sąsiedztwie, i czekać pomyślniejszej pory do ostatecznego ufundowania nowej religii i nowego obrzędu, w którym pani Loisonowa, primo voto Merimannowa, najpierwszą odegrywa rolę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRYSTYNA

KRÓLOWA SZWEDZKA.

(Christina-Königin von Schweden — Ein Lebensbild von Franz Schauerte—Freiburg, 1881).

Dzieje się to zapewne skutkiem szczególnego zamiłowania każdego autora do swego przedmiotu, że wskrzeszając postać historyczną najsmutniejszego chociażby rozgłosu, stara się ją zrehabilitować, z zarzutów ciężkich oczyścić, a nawet, jeżeli się da, wyidealizować. Działo się tak z Maryą Stuart, nawet z Filipem II w tragicznym sądzie z Don-Carlosem, dzieje się to samo z Krystyną królową szwedzką. Wprawdzie słynna ta i oryginalna *kobieta-król* odznaczała się istotnie niepospolitemi przymiotami i jako rządząca przy-

niosła zaszczyt swemu krajowi, ale kilka plam w jej życiu, nie dało się dotąd zatrzeć nikomu, bo i najznakomitsi historycy (Ranke i inni) zawsze surowo patrzą na sprawę z Monaldeschim i na życie jej zbyt swobodne, samowolne i niewybredne. Dopiero autor wyżej-wymienionej książki, Fr. Schauerte, gorący katolik, gorąco też za Krystyną i w tych dwóch względach przemawia, starając się ją zupełnie oczyścić z zarzutu niemoralnego życia, nieszczerości w przejściu na katolicyzm i z postąpieniem z Monaldeschim, a przyznać trzeba, że czyni to o tyle zręcznie, oile się opiera na poważnych i dosyć wiarogodnych dokumentach i świadectwach.

Dla polskiego czytelnika wszakże, nie w tej apologii leży zajęcie się książką pana Schauerte, lecz w opisie kilku momentów z życia Krystyny, mających związek z Rzeczpospolitą Polską, oraz w ukazaniu jej stosunku z najznakomitszymi ludźmi nauki i sztuki. Z tego ostatniego względu, zajmuje ta królowa w rządzie ówczesnych panujących, pierwszorzędne i rzeczywiście, całkiem odrębne stanowisko. Spółcześni oddawali jej w tej mierze sprawiedliwość, gdyż wszędzie gdzie przejeżdżała, witano ją uczonemi rozprawami i poematami, bito na cześć jej medale pamiątkowe, a uczeni i artyści całego świata garnęli się pod jej ochronne skrzydła, znajdując w niej zawsze prawdziwą i światłą opiekunkę.

* * *

Krystyna bawiła już długi czas w Rzymie, kiedy ją doszła wieść, że Jan Kazimierz, król polski, zamysła złożyć koronę, i ostatnie dni swoje przepędzić w ustronnej ciszy. Jako starający się o koronę polską, wystąpili: książę Neuburgski, car ruskim, książę Kondeusz i książę Lotaryński. Krystynie zdawało się, że ma również prawa do korony polskiej, jako latorośli z domu Wazów; przytem prywatne jej interessa z powodu zależności od Szwecyi, nabawiwszy ją niemało goryczy, były także nie małym bodźcem do ubiegania się o ten zaszczyt. Jakieżby bowiem było to upokorzenie dla jej wrogów, a jaka chwala dla niej, gdyby jej, która się zrzekła tronu, włożył teraz na głowę koronę, wielki naród z wolnego wyboru! Dlatego gorliwie lubo pokryjomu zaczęła czynić zabiegi. Jeden tylko papież (Alex. VII) kardynał Azzolino i nuncyusz papieżki w Polsce, wiedzieli o tem. Prosiła papieża o jego polecenie, którego jej też udzielił osobnym breve; innych książąt i panujących nie chciała prosić o pomoc, ponieważ—jak się wyraziła—tyle posiada dumy, iżby szczęścia swego nie chciała zawdzięczać nikomu prócz Bogu. Jego namiestnikowi i Rzeczypospolitej. Zaniechała również za pomocą darów i pieniędzy, ujmować sobie stronników w Polsce. „Nie mam wprawdzie—pisze sama — pieniędzy do rozdania, ale chociażbym miała skarby Krezusa, to jeszcze nie chciałbym kupować korony.... Gdyby tu chodziło o obietnice, mogłaby Rzeczypospolitej czynić jak największe większe aniżeli ktobądź inny, ale honor mój i interessa zakazują mi tego, a wreszcie tak już jestem stworzona, że chętnie mało obiecuję a dużo dotrzymuję. Śmiem chwalić się tem, iż jestem wdzięczną jak nikt na świecie, a co się tyczy Rzeczypospolitej, dam jej tysiączną sposobność dziękowania Bogu, iż mnie wybrała.“

Znając wszakże usposobienie i charakter Polaków, można było przewidzieć, że nie wybraliby jej nigdy; lecz Krystyna łudziła się, opierając na swem pochodzeniu z domu Wazów, na swoim szczęśliwym i pełnym władzy panowaniu w Szwecyi, na poleceniach papieżkich, na swej dojrzałości wieku i rozumu i na swoim krępkim zdrowiu. Dodawała przytem, że nie byłaby nigdy złożyła korony szwedzkiej, gdyby Szwecya była państwem katolickim lub chciała niem zostać nowo. Nuncyuszowi przedstawiającemu jej trudności przy obiorze, wynikające z jej płci i wolnego stanu, odpowiedziała: „Co się tyczy płci, to zarzut ten może być usunięty przykładami z polskiej historii, wreszcie wiadomo całemu światu, że rządziła państwem, jednego z najwaleczniejszych narodów, zupełnie jak król, że tak samo ukoronowaną została jak królowie Szwecyi, że od czasu mojej pełnoletności rządziłam przez lat dziesięć

absolutniej od innych moich poprzedników (była to niepomysłna rekomendacja dla Polaków), że mnie dotąd jeszcze w Szwecji żalują, bo mogę bez miłości własnej powiedzieć, iż rządy moje były dla Szwecji najszcześniejsze i najslawniejsze ze wszystkich, a jeżeli Bóg pozwoli, iż zostanę królową w Polsce, to i tam będę ze mnie zadowolony. Kiedym panowała w Szwecji, byłam prawie dzieckiem jeszcze, zdaje się przeto prawdopodobnym, że teraz przy pomocy Boskiej lepiej się z obowiązku mego wywiążę, skoro jestem przy pełnych siłach fizycznych i duchowych, i do wszelkich trudów przygotowaną. A czegożby odemnie żądać mogli, czegożbyśmy uczynić nie była w możności? Czy chodzi o rozstrzygnięcie i sądzenie, czy o powzięcie uchwał i postanowień? Obowiązuję się im zadosyć uczynić, jeżeli nie tak wprawnie jak może kto inny, to z równie zdrowym rozsądkiem. Jeżeli chodzi o to, ażeby stanąć na czele wojsk Rzeczypospolitej, uczynię to z przyjemnością i mogę zapewnić, że sama nadzieja tej przyjemności, każe mi życzyć sobie polskiej korony, bo gdyby mi ją ofiarowano pod tym warunkiem abym nigdy w pole nie ruszyła, tobym jej nigdy nie przyjęła. Takiej sposobności oczekiwałam życie całe namiętnie, ale moje położenie nie pozwalało na to i zeznaję, że nigdy bym nie była dozwoliła dowodzić moimi wojskami innym, gdyby nie warunki państwowe, stojące mi na przeszkodzie. Atoli dobru mojego państwa poświęciłam wszystko; nawet moją ambicję i moje skłonności, w przekonaniu, że takie są moje obowiązki. Krótko mówiąc, jeżeli kto zbada życie moje, charakter i temperament, to z pewnością na plec moją uważać nie będzie. Co się tyczy drugiego punktu, przyznaję, że mnie on w kłopot wprawia... jestem bowiem *zaprzysięgłą nieprzyjaciółką* tego straszego jarzma, któremubym nawet za panowanie nad całym światem, nie uległa. Ponieważ mnie Bóg stworzył wolną, zatem nie mogłabym się zgodzić na pana, a ponieważ jestem skłonną do panowania, zatem niepodobna mi stać się niewolnicą... Gdybym jednak mogła przezwyciężyć wstręt swój, to już jestem w takim wieku, że byłoby śmiesznym i myśleć o tem... o możliwości potomstwa, że zaś Polska jest państwem elekcyjnym, więc zdaje mi się, że powinna więcej myśleć o teraźniejszości a mniej o przyszłości“.

Potem usiłowała dowiedzieć, że jej stan wolny Polsce tylko korzyść przynieść może. Jest bowiem samą, bez krewnych i potomków, nie stanie się przeto państwu w niczem ciężarem, a po jej śmierci będą Polacy mogli swobodnie obierać nowego króla. „Jest jeszcze—wyznaje dalej—trzecia trudność, którą widzę sama, to jest nieznanostwo języka polskiego. Ta przeszkoda wydaje mi się tak ważną, iż drzę gdy o niej pomyślę, albowiem czyż możliwym jest panować nad jakimś narodem, z którym się rozmówić niemożna? Jakże zrozumie rozkazy, które wydawane być muszą? — jak podpisać rozporządzenia, nie czytając ich i nie rozumiejąc? Atoli ani książę Kondeusz, ani książę Neuburski, ani książę Lotaryński nie umieją więcej odemnie, ja więc uczynię to, czego oni nie zdołają, to jest postaram się w krótkim czasie wyuczyć języka“.

Zarazem daje ona tu charakterystykę swoich współkonkurentów i zestawia z wielką zręcznością wszystko, co posłużyć może jej celowi.

Rozmaite wielkie figury przedstawiały jej inne jeszcze trudności, a między innymi, poruszyły przed nią fatalną sprawę Monaldeschiego, na co Krystyna odpowiedziała, w ten wielce ciekawy sposób:

„Nie mam bynajmniej ochoty usprawiedliwiać się przed panami Polakami, co do śmierci tego Włocha. Nie potrzebuję zdawać im sprawy, jakkolwiek łatwoby mi to przyszło, ale zdaje mi się, że w Polsce powinni mi mniej, aniżeli gdziekolwiek indziej w świecie, zarzucać czyn ten jako zbrodnię, skoro wiadomem jest, że ludzie daleko niższego stanu odemnie, sami sobie wyświadczaają sprawiedliwość względem sług swoich i poddanych, tak jak im się tylko żywnie podoba, że ani król, ani żaden trybunał nie spytają nie ich o powód... Ale to trzeba dodać, że ten człowiek (Monaldeschi) przez najczarniejszą zdradę, jaką sługa względem swego pana popełnić może, zmusił mnie do pozbawienia go życia; że nie prędzej kazałam go stracić, dopókim go nie

przekonała własnoręcznymi jego listami o zbrodni i dopóki w obecności trzech świadków i opata z Fontainebleau, nie przyznał się do wszystkiego. Ci wiedzą, że on sam powiedział: „Zasłużyłem na śmierć po tysiakkroć razy“ i żem mu tych Sakramentów które mógł przyjąć przed śmiercią, udzielić kazała“.

Gdy jej zarzucano, że i służyć jednego wybiła, odrzekła: „Jeżeli to ma być powodem wykluczającym, to Polacy nigdy króla nie znajdą“.

Mimo trudu, jaki sobie Krystyna zadawała, ażeby zostać wybraną, przyjęła jednak spokojnie wiadomość o wyborze księcia Michała Wiśniowieckiego.

Ciekawy również jest epizod ze sławnym wydarzeniem ówczesnym, dotyczącym oswobodzenia Wiednia przez Jana Sobieskiego. Uwielbienie jej dla bohaterskiego króla, wyraża w kilku listach z najwzruszszą żywością. W liście do Terlona, posła francuzkiego przy szwedzkim dworze, nie może pohamować swego oburzenia z powodu połączenia Francji z Turcją i podnosi wielki czyn Sobieskiego, z niemałym przekąsem dla Ludwika XIV.

„Szczęśliwy jest ten wielki i nieporównany król, którym się Bóg posłużył, ażeby wasze niewolnictwo, przynajmniej na czas jakiś cofnąć; oby czuwał nad tym książęciem, który jest sławą stulecia i jedyną podporą religii“.

Do samego zaś Sobieskiego napisała list w tych słowach:

„Wielkie i rzadkie widowisko dałeś Wasza Królewska Mość światu, w pamiętnym i zwyciężkim dniu wybawienia Wiednia, za co święta nasza wiara i cały świat tak ci wiele winien, iż sławę twoją obowiązany jest czcić każdy chrześcijanin. W tym szczęśliwym dniu, stałeś się W. K. Mość godnym nie tylko korony polskiej, do której cię już Bóg podniósł, ale i panowania nad światem, gdyby ono z wyroków nieba jedynemu władcy było przeznaczone. Gdybym była w możności wynurzyć W. K. Mości moje osobiste życzenia, to z pewnością poznałbyś W. K. Mość, że nikt bardziej odemnie, nie może uczcić zasług waszych. Mogę się poszczycić tak, jak każdy inny, że pojmuję wartość i ważność sławnego zwycięstwa, któreś W. K. Mość, odniósł nad władcą Azji; ponieważ ja więcej od kogobądź poznałam nasze niebezpieczeństwo i lękałam się zniszczenia, zagrażającego nam od tak straszliwej potęgi, nad którą wszakże Bóg, za pośrednictwem bohaterskiej waleczności W. K. Mości, zatryumfował. *W. K. Mości będą w przyszłości, po Bogu, wszyscy królowie zawdzięczać panowanie w swych krajach.* Ja zaś, która już nie mam swego państwa, zawdzięczam W. K. Mości zachowanie swojej niepodległości i spokoju, który wyżej cenię nad wszystkie państwa świata... Nie zazdroszczę W. K. Mości twojego państwa, ani też skarbów i złotych łupów, ale trosk i niebezpieczeństw; zazdroszczę W. K. Mości pięknego tytułu: „wyswobodziciela chrześcijaństwa“ i radości żeś powrócił życie i wolność tylu nieszczęśliwym, przyjacielom i wrogom, którzy W. K. Mości życie swe i wolność zawdzięczają... Oby Wszechmocny Bóg, który jest jedyną nagrodą za bohaterskie i wszelkie czyny, nagrodził W. K. Mość w tym i tamtym świecie!“

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Ślązawka. — Dobroczynność. — Kuchnie ludowe. — Nocleg w łaźni. — Przytuliska dla ubogich. — Arcy-wzór skapca. — Odczyt Kiedza Siemieńskiego „O dziejach miłości bliźniego“. — Odczyt Koła Literackiego i Towarzystwa Pedagogicznego. — *Obrazki z najdawniejszych czasów Przemysła*, przez Anatola Lewickiego. — *Sejm czteroletni*, Kiedza Waleryana Kalinki. — Biblioteka *Mrówki*. — Maurycy Gosławski. — *Wzory haftów włoczańskich na Pokuciu*, przez Ludwika Wierzbickiego. — Walne zgromadzenie Towarzystwa gospodarskiego. — Teatr. — Nowa dyrekcya,

przygotowania p. Miłazewskiego. — Operetka i sztuki ludowe; pierwsze przedstawienie. — † Szymon Krawczykiewicz.

Lwów, w Marcu 1881 r.

(Dokończenie).

Wręcz przeciwny, możnaby powiedzieć, przedmiot odczytu obrała sobie pani Felicja Boberska. Jeżeli bowiem poprzedni prelegent mówił o plemonach ustępujących z wolna z widowni świata, to p. Boberska przedsięwzięła skreślić w swym odczycie warunki moralnego wzrostu społeczeństw, i wskazać drogi, któremi się do utrwalenia ich bytu, przez należyte pojęte i prowadzone wychowanie młodych pokoleń, dochodzi. Czem się dzieje, zapytuje prelegentka, że pomimo wszechstronnego umysłowego postępu, pomimo szybkiego wzrostu nauki, wiek nasz tak nisko przecież stoi pod względem moralnym, a społeczeństwo wpada na ubolewania godne bezdroża? Ludzkość pomimo coraz większego światła nie uszlachetnia się moralnie w równej mierze. Niesumienność, chciwość i znikczemnienie bardzo się szerzą, mnożą się samobójstwa będące objawem rozstroju moralnego, a statystyka zbrodni smutne okazuje wyniki. Dlaczego, pyta prelegentka, nie umiemy mężnie znosić przeciwności życia i opierać się jego pokusom? Dlaczego nie umiemy żyć i pracować użytecznie, a w tej pracy czerpać siłę i spokój moralny, pewność siebie i zadowolenie sumienia? Dlatego, odpowiada, że brak nam *ludzi z charakterem*; że wychowanie u nas zwrócone głównie ku wykształceniu umysłu, zaniedbuje pielęgnowanie strony moralnej, kształcenia charakteru. Przedsięwzięła zatem, mówiąc o *kształceniu charakteru*, zwrócić uwagę na ten ważny przedmiot pedagogiczny, w systemacie wychowania dzisiejszego niedość należyście uwzględniany.

„Podziwiamy rozum i geniusz, powiada prelegentka, ale czcimy i szanujemy prawdziwie tylko charakter“. I na tem tle rozwinęła cały szereg poglądów pedagogicznych, opartych na zdrowym pojęciu rzeczy. W ogóle obok szlachetnej dążności, wiele pięknych myśli, wiele prawd zasadniczych było w tym odczycie, bądź rozwiniętych szczegółowo, bądź nawiasem rzuconych.

Naostatek wspomnę jeszcze o odczycie p. Anatola Lewickiego, profesora jednego z tutejszych gimnazjów *O dziejach Czerwonej Rusi* po koniec wieku XIV. Dokładna znajomość wypadków i ducha czasu, zacerpnięta ze źródłowych badań i podań kronikarskich; styl piękny; zakończenie wyluszczone historyczoficzne znaczenie opowiedzianych wypadków i charakterystykę społeczeństwa, wśród którego się odegrały; były istotną zaletą tego odczytu. Wszelako sposób opowieści, przyjęty przez prelegenta, nie zdaje się nam odpowiadającym zadaniu wykładów popularnych tego rodzaju. Znadto wiele nagromadzonych było tutaj szczegółów, z nadto, rzekłbym, drobiazgowo opisane owe wikłające się w nieskończoność dzieje rzezi, bratobójczych mordów, wojen i wszelkiego rodzaju okrucieństw, ażeby mogły pozostać w pamięci i nie pochłonąć w swym labiryncie, chociażby najbardziej wyteżonej uwagi słuchacza, przy tak nawet jasnym i logicznie uporządkowanym wykładzie, jakim był niniejszy. Naszem zdaniem w wykładach popularnych tego rodzaju, aby one przynosiły plon pożądany, więcej zależy na przedstawieniu ogólnikowym pewnej zaokrąglonej całości, na uwydatnieniu głównych rysów epoki, charakterystycznych znamion czasu, pewnych prawd zasadniczych, niżeli na zgromadzeniu wielkiej liczby wypadków, szybko ulatniających się z pamięci. Co innego w książce. Tutaj dokładność jest pożądaną i konieczną, a to, co się nie da pomieścić z należyłą symetrią w jednej godzinie ustnego wykładu bez przeciążenia uwagi i pamięci słuchaczów, to rozsnute w książce, na tle obszerniejszym, uwydatnia się należyte przed okiem czytelnika, nabiera uroku życia, zajmuje kolorytem i treścią, jeżeli, ma się rozumieć, ten, co ją pisał, był dobrym malarzem i rozumiał znaczenie dziejów. Najlepszym tego dowodem są wydane właśnie temi dniami nakładem księgarni braci Jeleniów w Przemyslu tegoż samego prof. Anatola Lewickiego *Obrazki*

z najdawniejszych czasów Przemysła. Treścią tej pracy są teżsame dzieje, które były przedmiotem wykładu, jakkolwiek bowiem wszystkie tutaj w szeregu dwudziestu ośmiu wiążących się treścią w jedną całość obrazków, opowiedziane wypadki grupują się około dziejów Przemysła, obejmują one przecież dzieje całej Rusi Czerwonej od najdawniejszej o nich wzmianki Nestorowej aż po rok 1389, ponieważ dzieje wszystkich jej dzielnic, wśród ciągłych walk wzajemnych ściśle wiązały się z sobą. W pracy tej okazał autor, nie tylko należyte zrozumienie dziejów, nad którymi widocznie z zamiłowaniem pracuje, ale także prawdziwy talent dziejopisarski, umiejący dobrać z nagromadzonego skorzystać materiału, ugrupować zaczerpnięte w źródłach szczegóły symetrycznie i stworzyć zajmującą opowieść, będącą prawdziwym wyrazem epoki, służącej za treść opowiadania. W książce p. Lewickiego każdy obrazek czyta się z zajęciem, każdy przedstawia się we właściwym sobie świetle; wszystkie postaci narysowane wydatnie, na tle wypadków, powiększej części pełnych ponurej grozy. Gdy wszystko razem w jedną całość obejmujemy, tak, jak nam ją tutaj autor podaje, mamy przed sobą wymowny obraz czasu i ludzi odgrywających główną rolę w pięciowiekowym okresie, na przestrzeni ziem objętych opowieścią. Za główną zaletę książki p. Lewickiego uważamy to, że autor niepoprzestał na skompilowaniu i powtórzeniu znanych zresztą mniej więcej podań kronikarskich, lecz rzucił na nie promień światła dziejowego, w należytem ustawiając je świetle. Pod względem formy praca ta odznacza się pięknym językiem i obrazowością w przedstawianiu rzeczy, podobnie, jak wydane niedawno *Szkice historyczne* Kubali. Jestto forma wdzięczna, która od czasów Szajnochy, co ją pierwszy u nas wprowadził, coraz się bardziej w młodszym pokoleniu historycznych u nas pisarzy przyswaja; a z jak pomyslnym skutkiem świadczy o tem najlepiej będące właśnie pod prasą drugie wydanie *Szkiców* Kubali tak szybko w pierwszem wyczerpanych.

Mimowolnie zaszliśmy w dziedzinę literatury. Pożądaną zapewne będzie wiadomość dla czytelników zajmujących się dziejami, że nakładem księgarni tutejszej Sejfarta i Czajkowskiego rozpoczął się druk drugiego tomu głośnego dzieła *Sejmu czteroletniego* Waleryana Kalinki. Ażeby dzieło to uczynić przystępnem także i dla mniej zamożnych czytelników rozpoczęła też księgarnia za porozumieniem z autorem druk wtórego, mniej powierzchownie ozdobnego, a zatem i mniej kosztownego, wydania w mniejszym formacie. Jest to bardzo szczęśliwy pomysł, za pomocą którego dzieło X. Kalinki rozpowszechnić się będzie mogło w znaczniejszej liczbie, jak zazwyczaj wszystkie dzieła wydania.

Księgarnia Polska, prowadząc nieprzerwanie swą *Bibliotekę Mrówki*, wydała pięć nowych tomików, w których znajdują się dwie rozprawy krytyczno-literackie Spasowicza o Wincentym Polu i o Syrokomli, tudzież tomik poezji *Piosnki utana* Maurycego Gosławskiego. Gosławski nie należał do pierwszorzędnych poetów, ale miał czasem szczęśliwe chwile natchnienia i formę sobie właściwą, rytm nadający piosnkom jego jedrność i siłę wyrazu. Przebijają w nich zarazem rzewność i tęsknota, niby iza w męzkim przeblaskująca oku. Gosławski przedsięwziął sobie być śpiewakiem Podola, podobnie jak Gósczyński, Bohdan Zaleski, byli śpiewakami Ukrainy, a Mickiewicz nie zrównanym borów litewskich piewca. Jakoż najpiękniejszemi pieśniami Gosławskiego są te właśnie, które się odnoszą do Podola, do stron rodzinnych poety, do tych drogich sercu okolic, do których patrząc na wschód swym zwyciężam wieczyście tęsknił i które najmilej opiewał. W zbiorze wydanym obecnie w „Bibliotece Mrówki“ znajdują się rzeczy pod względem poezji rozmaitej wartości. Najpiękniejsze są te, które się odnoszą do życia obozowego i posiadają rzeczywiście cechę piosnek ułańskich. Księgarni Polskiej należy się wdzięczność, że je wydobyla z zapomnienia. Jakkolwiek bowiem Gosławski, powtarzam, nie może się liczyć do pierwszorzędnych poetów, jest wiele rzeczy z jego poezji godnych zachowania i znamiennych pewną oryginalnością talentu. Go-

ślawski umarł przed czterdziestu przeszło laty w Galicyi, w Stanisławowie, gdzie też lat temu parę, staraniem tamtejszego burmistrza Kamińskiego, wystawiono mu pomnik, odsłonięty uroczystie podczas zjazdu pedagogicznego. Uroczystość ta odżywiła pamięć zapomnianego już prawie poety i była pobudką do odszukania i częściowego wydania pozostałych po nim poezyj.

Wyszedł drugi zeszyt *Haftów na Rusi*, wydanych przez Ludwika Wierzbickiego, dyrektora tutejszego muzeum przemysłowego, nakładem tegoż muzeum. Zeszyt obecnie wydany zawiera wzory haftów włoczańskich z Pokucia. Ludność tamtejszych okolic posiada więcej smaku estetycznego, więcej zamiłowania w tego rodzaju ozdobie odzieży i bielizny, niżeli gdziekolwiek indziej na Rusi. Jakoż zamieszczone w niniejszym zeszycie wzory haftów, jakkolwiek mniej więcej też same przedstawiają motywa z otaczającej zaczerpnięte przyrody i tę samą zasadniczo charakterystykę ściegów i linii, odznaczają się przecież od wzorów pierwszego zeszytu większem jeszcze bogactwem fantazji, przepychem barw w ogóle i różnaitością kombinacji. Rysunki wykonała p. Helena Komorowska, jedna z uczennic muzealnej szkoły rysunków, a chromolitograficzne odbicie nie pozostawia nic do życzenia. W dodanym tekście skreśla p. Wierzbicki treściwie charakterystykę i różnicę rysunkowych wzorów, tudzież motywów, z których się one tworzą u rozmaitych ludów Wschodu i Zachodu. Jestto w jak najogólniejszym zarysie kilku rzutami w zajmujący sposób i z wielką znajomością rzeczy skreślony obraz rozmaitych kierunków, w jakich się fantazja i smak estetyczny na Wschodzie i Zachodzie rozwijały, wywierając skutkiem okoliczności i wypadków dziejowych wpływ na sztukę, obyczaje i przemysł domowy w Polsce.

Wypadałoby może wspomnieć obszerniej o walnem zgromadzeniu delegatów Towarzystwa Gospodarskiego, które się tutaj odbyło w ostatnich dniach Lutego. Zjazd ten delegatów odróżniał się od dawniejszych nie tylko tem, że się bardzo licznie nań zjechali gospodarze wiejscy z wszystkich okolic kraju, ale także, i to głównie, treścią obrad, ważnością poruszonych przedmiotów i powziętych uchwał. Programat obejmował rozległe koło gospodarskich potrzeb i stosunków krajowych: nie dziw zatem, że obrady były bardzo ożywione i zajmujące i trwały przez trzy dni, codziennie niemal bez przerwy, do późnego wieczora. Zpomiedzy spraw poruszonych główniejszemi są: podniesienie chowu bydła i koni, uregulowanie jarmarków, założenie banku rolniczego i zawiązanie spółek rolniczych obwodowych, gorzelnictwo, opas owiec i wiele innych tym podobnych, o których szczegółowo pisać nie będę, jako o związanych ściśle z miejscowemi stosunkami tutejszemi, które przeto nie mogą w równej mierze, jak nas, zajmować czytelników *Bluszczu*. Powiem tylko w ogóle, że Towarzystwo nasze Gospodarskie w ostatnich kilku latach ożywiło się bardzo i zaczęło znakomicie wzrastać, czego skutki praktyczne w zakresie gospodarstwa wiejskiego i przemysłu rolniczego, z każdym dniem stają się widoczniejszemi; zwłaszcza chów bydła staraniem Towarzystwa podniósł się znacznie w ostatnich lat dziesiąt...

Zajrzyjmy jeszcze do świata teatralnego. Nowy dyrektor sceny lwowskiej, p. Miłaszewski, zjechał już na stałe do Lwowa i gorliwie krząta się około zorganizowania przyszłej sceny. Trudności i pracy dużo, a czas stosunkowo krótki, albowiem pierwsze przedstawienie zapowiedziane jest na drugi dzień Wielkiej Nocy. Cztery tygodnie to niewiele, gdy wszystko trzeba z gruntu przeobrazić i nanowo zorganizować. Dawniejsza, ustępująca dyrekcyja stara się pozostały jej jeszcze czas jaknajkorzystniej wyzyskać przedstawieniami operetkowemi, które najlepiej u nas się oplacają. Czy p. Miłaszewski odpowie położonemu w nim zaufaniu i podola trudnemu zadaniu podniesienia sceny; czy przezwycięży mnogie przeszkody, jakie na swej drodze niezawodnie spotka? o tem dziś sądzić byłoby zawczasie. Jeżeli wszakże chce się zasłużyć scenie, to przedewszystkiem powinien dążyć do tego, aby ją oczyścić z krzewiącego się na niej bujnie, zwłaszcza od dwóch lat, chwastu ope-

retkowego, a zastąpić go w znacznej części przynajmniej tak zwanemi sztukami ludowemi, niedzielnymi, mogącemi korzystnie wpływać na oświatę i umoralnienie licznej warstwy ludności miejskiej, która rozrywki tego rodzaju łaknie z upragnieniem. Pierwsze przedstawienie pod dyrekcyją p. Miłaszewskiego ma się rozpocząć prologiem J. I. Kraszewskiego, umyślnie na ten cel napisanym; poczem nastąpią, niestarzejący się nigdy, *Krakowiacy i Górale* i druga komedia, przy udziale p. Romany Święckiej, ulubienicy niegdyś publiczności lwowskiej, która na scenie tutejszej jako panna Popielówna swój artystyczny rozporozczyła zawód, a dzisiaj tem miłszym będzie na niej gościem. Na drugie przedstawienie przygotowuje p. Miłaszewski, jak słyhać, *Kiejstuta*, dramat Asnyka, do którego dekoracje zamówił w malarni wiedeńskiego Teatru Miejskiego (*Stadttheater*) wyobrażające widoki Litwy w XIV wieku według szkiców umyślnie przez Kraszewskiego rysowanych.

Na zakończenie oddajmy słów parę czci zasłużonej zmarłemu przed kilku dniami weteranowi Szymon Krawczykiewicz, były kapitan artylerii, ukończywszy szkoły wojskowe w Warszawie, służył w wojsku jeszcze za czasów Wielkiego Księcia Konstantego. Przybywszy następnie do Galicyi, w strony swe rodzinne, objął naczelną redakcyję *Gazety Lwowskiej*, będącej prywatną własnością Kratterów, jedyne go wówczas pisma politycznego w Galicyi. Gdy w roku 1848 gubernator hr. Stadion nabył od Kratterów *Gazetę lwowską* na własność rządu, Krawczykiewicz odsunął się stanowczo raz nazawsze od redakcyi i otrzymał posadę dyrektora Kasy Oszczędności, którą wzorowo uorganizował i której blisko przez lat trzydzieści przewodniczył. Otrzymałszy emeryturę, nie usuwał się pomimo tego od pracy i był aż do samej prawie śmierci czynnym Rady Nadzorczej członkiem, chociaż siedmdziesiąt sześć lat wieku słusznie domagały się spoczynku. Podczas reorganizacyi szkół galicyjskich napisał s. p. Krawczykiewicz arytymetykę dla niższych klas gimnazjalnych, dziełko wyborne w swoim rodzaju, odbijające znakomicie zwięzłością i jasnością wykładu od da wniejszych szkolnych podręczników niemieckich. Był to człowiek nieskazitelnej prawości, ujmującego usposobienia, lubiany i poważany. Zajmował się zawsze gorąco sprawą publiczną, a śmierć jego powszechnie obudziła społeczeństwo.

Władysław Zawadzki

Dr SCHLIEMANN.

Dr Schliemann, osobistość znana dziś w całym świecie ze swoich poszukiwań starożytności greckich, należy do ciekawszych postaci naszego czasu, a w każdym razie do tych ludzi silnych i wytrwałych, którzy energicznie przebijają się przez życie, u siebie wydobycie się na wierzch i stać się głośnymi. Wspaniały dar, świeżo uczyniony przez niego miastu Berlin z wykopalisk, zwanych Trojańskimi, zwróciły na niego uwagę świata naukowego i tak osoba Schliemanna, jak i jego archeologiczne zbiory wystąpiły na pełniejsze światło krytyki i zajęcia szerszej publiczności. W ostatnim swem dziele: *Ilios, the city and country of the Trojans*, wyszłem w roku zeszłym w Londynie, podaje on sam szczegóły z życia swego, z dzieciństwa i młodości, pozwalające wyrobić sobie pewne wyobrażenie o człowieku i zarazem zrozumieć kierunek jego prac starożytnika. Jest on w nich więcej poetą, niżeli uczonym, a nawet jest w nich uczonym zamało i znać na nim długi pobyt w Ameryce, nieusposabiający do badań, do studiów cierpliwych. Robił on poszukiwania swoje stosunkowo zaprędko; prędzej jeszcze szacował odkrycia poczynione, ogłaszał je hałaśliwie, a fama o nich obiegiła na skrzydłach reklamy świat cały, zanim sąd uczonemu areopagu mógł wyrzec zdanie ustalone. Niemniej wydarł ziemi skarby ogromne i zasługa jego dla nauki ma niezaprzeczone znaczenie.

Schliemann urodził się d. 6 Czerwca 1822 w Księstwie Meklemburskiem, w miejscowości Neu-Buckow, na tym gruncie, który nie jest jeszcze tak grubo nałożony pokładami niemieczyny, aby to tu, to tam nie wydostawało się na wierzch, nie sterczało ponad nią coś, co niemieckiem nie jest, i kto wie czy to nie przeszłość wizerająca przez powłokę teraźniejszości, wpłynęła przeważnie na to, aby uczynić ze Schliemanna starożytnika, kopiącego się w głąb' ziemi. Ojciec jego był pastorem protestanckim, człowiekiem ubogim i uczył dzieci swoje sam, więc do pewnego stopnia dorywczo i młode chłopię, którego uczono historii starożytnej, któremu mówiono przytem o Pompei i Herkulanum, mając wiele chwil wolnych, zaczęło szukać wkoło siebie podobnych śladów przeszłości. Starożytne kopce, mogły zapewne słowiańskie, zwane przez Niemców *Hünengraeber*, *groby Hunnów*, bardzo są liczne w tamtych stronach i Nowym Bukowie znajdowało się pod lasem wzgórze wysokie, otoczone rowem głębokim, które pierwsze uderzyło wyobraźnię dziecka. — Tam coś być musi, musi się tam coś kryć? — mówiło, bo drugostronnie legendy krążące między ludem, usposabiały umysł do myśli takich. Naród, który wytracano ogniem i mieczem, który wieki całe bronił się i uchodząc przed siłą przemagającą krył siebie i mienie swoje po lasach i moczarach, zakopywał skarby unoszone w ziemi, mieścił w pieczarach i ruinach, zostawił mnóstwo podań o tem, zmienionych, przerobionych, cudownością okrytych i fantazyja młoda a snadź z urodzenia już poetyczna, rozbudzona przez wiadomość o niezmiernie dawnym istnieniu narodów różnych, chwytala je z zajęciem. Zaraz poza ogrodem plebanii był stawek, zwany *Silberschaelchen*, o którym mówiono, że mieści w sobie skarby zatopione, jak to i u nas powtarza się w okolicach różnych, lecz tu dodawano jeszcze, że o północy, występuje z wód panna ze srebrną czarą w rękę. O wspomnianym zaś wyżej kopcu, gdy z jednej strony mianowano go grobem strasznych najeźdźców, z drugiej lud twierdził, że jest tam pochowane w złotej kolebce dzieciątko jakiegoś księcia, a stara czarna wieża, padająca już w gruzy, a znajdująca się w parku dworskim, uchodziła za miejsce kryjące w sobie skarby ogromne, które miał tam ukryć dawny posiadacz średniowiecznego zamku, zamieszkałego jeszcze przez obecnych dziedziców wsi. Mury zamku były grube na sześć stóp i miały posiadać tajemnicze przejścia, kurytarze skryte, wreszcie podziemia, ciągnące się pięć mil, i to pod bardzo głębokim jeziorem Speek, na którego przeciwnym zamkowi brzegu miało dopiero istnieć wyjście, w las wiodące. Chłopiec tak żywo się tem przejmował, że kiedy ojciec skarżył się na braki i biedę, on go pytał naiwnie: czemu nie rozkopie mogiły książęcego dziecka ze złotą kolebką? czemu nie wydobędzie ze stawku czary srebrnej?

Pawilon w ogrodzie plebanii miał też posiadać skarb, ale ten już był świeższego pochodzenia, zamurowany tam przez poprzedniego księdza, którego duch przy nich pokutował. Duch, strzegący skarbów, umieszczonych w wieży, mieszkał również w podziemiach zamkowych; lud całej wioski wierzył w to święcie i syn pastora myślał sobie, że ludzie nie dobierają się do tych bogactw przeszłości jedynie z trwogi przed ich strażnikami tajemniczymi. On byłby rad tego dokonać: wyzwać duchy i wydrzeć im drogości, których potrzebował.

Podbudzająca do tego niezamożność rodziców, łączyła się przecież z innym, wyższego rodzaju natchnieniem. Ojciec, gorący wielbiciel starożytności, opisywał mu malowniczo przy lekcjach historii bohaterów Homera, i ztąd skreślił szczegółowo dzieje wojny Trojańskiej i jej koniec tragiczny, a może z powietrza, owiewającego mogiły stare, wpłynęło w pierś nie-

mieckiego chłopca coś litości nad napastowanym i wymordowanym ludem, bo pisze, że stał się zapalonym stronnikiem Troi, Hektora i boleść jego była wielka, skoro usłyszał, że gród Pryama został zrównany z ziemią, że nie pozostało po nim nic, śladów nawet. Miał wtedy rok ósmy i płakał z żalu, to też radość jego była ogromna, gdy ojciec dał mu na kolendę *Historia powszechną* Ferrera, z ryciną przedstawiającą pożar Troi i jej mury ogromne; bramę, przez którą uchodził Eneas z ojcem na barkach i synem Askaniuszem, uczeptionym u jego sukni. — Ojcie! — wykrzyknęło chłopię — omyliłeś się... Mury Trojańskie musiały pozostać i Ferrer widział je, skoro je przedstawił... Odpowiedziano mu, że rycina była dziełem fantazyi, opartej na opisach historyków, gdy przecież ojciec przyznał to przynajmniej, że niewątpliwie były tak grube i mocne, jak je rysunek przedstawiał, on wtedy począł dowodzić, że w takim razie musiało pozostać z nich cośkolwiek: ruiny i szczątki jakies. Zasypane są; wiatr niosący pył ziemski przez wieki, pokrył je i pogrzebał, można przecież odnaleźć miejsce i odkopać, wydobyc na światło dzienne. Na to przystawał i ojciec, a syn począł od tej chwili tak marzyć o odkopaniu Troi, jak o wydobyciu skarbów z łona ziemi i wody, i może siadając nad brzegiem *Silberschaelchen*, mówił sobie to samo, co nasz poeta (Lenartowicz) nad brzegami Gopla:

Przeszłość, przeszłość tu spoczywa,
Snem umarłych drzemie sobie;
Fala czasu tak przepływa,
Jak ta woda na jej grobie.

Mimowoli nasuwa się tu myśl: czem jest dla istoty dziecięcia wychowanie i otoczenie? jak uderzając o struny młodego uczucia, młodej wyobraźni każe im zadrzeć i wydać pierwszy, często wyroczny, niezapomniany nigdy głos? Czy dzisiejsza krytyczna metoda uczenia historii, przedstawienia w jej miejsce socjologii, może przynieść takie owoce, uskrzydlić myśl, rozbudzić zapal serca? Bajka, piękna, szlachetna, a nawet tylko, że romantyczna bajka, nie jest rzeczą bezużyteczną w rozwoju umysłowym. To jest kwiat, w którego kielichu kryje się nietylko woń i ten balsam słodki, do którego lgnie motyl, za którym goni pszczoła: na dnie jest zawiązek ziarna — siwu przyszłości.

Malec pełen marzeń o przeszłości i przyszłości odkrywał je towarzyszącemu szkolnym, opowiadał o walkach czasów homerycznych, o tajemnicach wioski rodzinnej, lecz zyskał to tylko, że śmiano się z niego, że sztychono z jego planów cudownego z bogacenia się. Przecież gdzie tylko jest poezja, gdzie jest poeta, tam musi się znaleźć współczujące serce kobiece, choćby w pierśi dziecinnej: i tak też stało się ze Schliemannem. Między jego znajomymi były dwie dziewczynki, córki dzierżawcy sąsiedniej wioski Zahren: Ludwika i Minna Meincke, jedna znacznie już starsza od niego, bo o lat sześć, druga w jego wieku, i te nietylko że nie raniły go żartami, ale przeciwnie słuchały z zajęciem opowiadań i przyszłych zamiarów, szczególnie Minna, do której też powziął żywe przywiązanie i połączył ze sobą w snach o przyszłości. Przysięgli sobie wieczną miłość i należenie do siebie dożgonne.

W czterdzieści lat potem Schliemann odkopał Troję, czy też to co za Troję uważa, ale, niestety, nie ze złotowłosa Minną młodych swoich marzeń. Złoto i srebro nie leżało tak tuż obok, jak mniemał i gdy po latach kilkunastu, po pozyskaniu jakiegos już mienia, mógł pomyśleć o własnym ognisku domowym i wrócił w strony rodzinne, zastał niezapomnianą nigdy bogdanę swoją już żoną innego. Że musiał cierpieć nad zawodem — to rzecz pewna; przecież niewiadomość o postanowieniu

ukochanej dowodzi, że marzył o rzadko spotykanej wierności idealnej i nie dając dziewczęciu znać o sobie, nie utrzymując z nią stosunków, pragnął, aby mimo to wszystko stała dlań była. Może też nie zdradziła go w sercu, ale uległa okolicznościom, uważając się za zapomnianą. On się ożenił z inną, o której nie wspomina nic, prócz tego, że była matką jego dwojga dzieci, Niemką zapewne, z którą razem robił majątek w Ameryce. Gdy umarła, a on, już z bogactwem ogromnym, wrócił do Europy i odświeżył sobie w duszy marzenia dni młodych, poszukał poetycznie Greczynki, bardzo pięknej, jak pokazują jej portrety i podobnie jak on zamilowanej w poszukiwaniach starożytności, które dla niej mają świętość pamiątek ojczystych.

Ciekawą jest rzeczą jak zupełnie ubogi, zdobył sobie możność do tego, a to tem więcej, że smutny przewrót w majątkowym stanie rodziców odjęło mu możność kształcenia się naukowego w latach chłopięcych. Musiał opuścić gimnazjum, przejść do powiatowej szkoły realnej i nabywszy w niej pewne, potrzebne do zawodu handlowego wiadomości, został oddany w czternastym roku do sklepu korzennego. Musiał od tego czasu myśleć już zupełnie o sobie myślał też, jakkolwiek dawne zamiłowania żyły w duszy i wzruszającym jest jeden ustęp ze wspomnień jego młodości, gdy do sklepu, kędy przedawał pieprz i cynamon, wszedł raz nad wieczorem dawny jego znajomy, syn pastora również, ale niespokojnej natury i tak złych obyczajów, że wydalonego ze szkół, ojciec oddał na naukę do młynarza. Z rozpaczki zaczął pić i właśnie podchmielony począł na powitanie dawnego znajomego recytować wiersze — wiersze greckie, ustęp z Iliady, niezrozumiały dla biednego Schliemanna, który niemniej połykał uchem chciwie te dźwięki dla niego boskie. Że młody szalała, — Henryk Niederhofer — umiał deklamować, że umiał zachować melodyą greckiego rytmu, Schliemann zachwycony uprosił go, aby trzykrotnie powtórzył ustęp dość długi, bo stuwierszowy, a on kupił mu w nagrodę za grosz ostatni trzy kieliszki rumu. — „Od tego wieczora — pisze Schliemann, — modliłem się codziennie przy pacierzu, aby Bóg pozwolił mi choć kiedy, choć późno, nauczyć się po grecku“.

Nieszczęście postawiło młodzieńca na drodze umożliwiającej spełnienie poetycznych jego pragnień. Zaciężka paka, którą kazano mu dzwignąć, była ręką przeznaczenia: sprowadziła rzucając się krwi ustami i oddaleniem ze sklepu. Udał się do Hamburga, szukając zajęcia też w sklepie korzennym, ale nie było wolnego miejsca, a on, ubogi, nie miał możności czekać i zgodził się jako chłopiec okrętowy na statek puszczający się do Ameryki Południowej. Był tak biedny, że, aby kupić sobie koldrę, sprzedał jedyny ubiór, jaki posiadał, zanim przywdział kurtkę żeglarską, którą przecież nosił bardzo krótko. Okręt rozbił się przy brzegach Hollandyi i Schliemann, mający wtedy rok dwudziesty, musiał pozostać w Europie, a jakkolwiek przebył jeszcze ciężkie doświadczenia nędzy i wyrzucony na ulice Amsterdamu wśród zimy, zapoznał się z chłodem i głodem, los jego zmienił się stanowczo. Bo gdy po pewnym czasie znalazł miejsce w biurze jakiegos przemysłowca z pensją 800 franków, było to dla niego dostatkim prawie.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się półarkusz 10-ty powieści pod tytułem: *Służąca posesora*; oraz półarkusz 17-ty powieści pod tytułem: *Wódz-Duch*.

TRĘŚĆ. Głos kobiet w opinii publicznej, przez M. I. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie. — Krystyna, królowa szwedzka (biografia), przez Edwarda Lubowskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów (dokończenie). — Dr Schliemann (życiorys).

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 15 Апрелья 1881 года.

SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dalszy ciąg).

Dziś dom gajowego miał nieco odmienną powierzchowność; na górze nie widać było klatek, nie odzywał się śpiew ich skrzydlatych mieszkalców, a wszystkie okna w narożnym pokoju—przeznaczonym przez Fryderyka dla chorej z folwarku—zasłonięte były spuszczone w dół roletami. W całym domu panowała cisza, cisza tak głęboka i zupełna, jak gdyby stara żona posesora przeniosła się już do leśniczówki. W każdym razie wchodowe drzwi musiały być zamknięte i zapewne nikogo nie było w domu, patrzący więc z ukrycia chciał się oddalić, gdy nagle głośny śmiech zatrzymał go na miejscu. Rozległ się on w narożnym pokoju z zasłoniętymi oknami—dochośny, szalony, wyuzdany śmiech, który rozbrzmiewając wśród poważnej ciszy lasu, przykro obił się o uszy słuchającego. Następnie słysząc się dał stłumiony szmer głosów, jedna z rolet uniosła się trochę i opadła znów, jakby od powiewu wiatru, lub szybkiego biegania po pokoju... Widać byli goście u pana leśniczego, kilku dobrych, wesołych koleżków, ochoczo bawiących się w chłodnym pokoju. I Henryk przypuszczał, że musiało tam być aż ciemno od tytoniowego dymu, a przy kartach i smacznym piwku odzywały się rubaszne dowcipki, wywołujące głośne wybuchy śmiechu.

Nie, nie, młoda dziewczyna nie mogła się tam znajdować, nie mogła brać udziału w podobnym towarzystwie. W obec tej dumnej kobiecej istoty nikt nie ośmielił by się wybuchnąć tak szorstkim, zwierzęcym śmiechem. Młody dziedzic był najmocniej przekonany o tem, a przecież właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi i wyszła z nich służąca posesora.

Trzymając dzbanek w rękę, zeszła po schodkach ze smutnie opuszczoną ku ziemi głowę, z wyrazem głębokiego, prawie bolesnego zamyślenia.

Henryk oburzony do najwyższego stopnia, chciał wyskoczyć ze swego ukrycia, lecz mimowolnie zatrzymał się, jak gdyby to słabe dziewczę miało jakąś niepojętą siłę, jakiś potężny urok, broniący ją od zetknięcia z wszelką szorstką namiętnością. Poszła w dół ku kryształowemu źródłu, wytryskującemu z pod skały na samym brzegu lasu.

Henryk udał się za nią, a gdy dziewczyna usłyszała jego kroki, odwróciła się z żywością. Był już tak blisko, że widział jak się lekko zarumieniła, przyczem wyraz boleści zniknął tak nagle z jej pięknej twarzy, jakby zdmuchnięty powiewem wiatru.

— Czy chcesz się pan napić świeżej wody? — zapytała uprzejmie, podstawiając dzbanek pod błyszczący promień wody. — Natychmiast pójde do domu po szklankę.

— W piśmie świętem stoi:—I wzięwszy z pośpiechem dzbanek w obie ręce, dała mu się napić...—odezwał się szyderczo, Henryk, zastępując jej drogę od strony domu. — Jeżeli chcesz panna grać rolę

Rebeki, to już należy ściśle zastosować się do biblijnego wzoru. Zresztą nie będę pić ani ze dzbanka, ani ze szklanki. Czysta, źródłana woda! Dziękuję ci za nią!—zawołał śmiejąc się wymuszenie.—Czy tylko ten skromny, orzeźwiający napój podajesz panna wesołemu towarzystwu w narożnym pokoju? Po źródlanej wodzie ludzie nie śmieją się tak głośno.

Dziewczyna przerażała się okrutnie... widział to i ucieszył się złośliwą radością.

— Czy na dworze słyhać hałas?—zapytała nieśmiało.

— Ech, czy to pannę naprawdę dziwi? Sądzę przecież, że głosy bawiących się tam jegomościów wcale nie odznaczają się powściągliwością. Myślę, że usłyszymy zaraz jaką wesołą piosenkę...

— Mylisz się pan—odrzekła drżącym od wzruszenia głosem; wilgotny połysk zasłonił wzrok, który przelotnie przesunął się po twarzy młodzieńca.

— Mylę się? Ha! ha! ha! Zapewne więc są to pobożni braciszczkowie zakonni, którzy zgromadzili się w narożnym pokoju na modlitwy? Wszystko to bardzo być może!—wzruszył pogardliwie ramionami.—Zresztą, co mnie to może obchodzić! Jedno tylko jeszcze muszę zadać pytanie: Czy twój państwo, moja piękna panno, wiedzą o tem, że bywasz w domu gajowego?

Z żywością podniosła rękę, czyniąc nią gest wzbraniający.

— Och nie, panie, nie! Nic nie wiedzą, nie wiedzą nic i niech Bóg broni, aby się mieli dowiedzieć o tem!

— Tak? I w ten sposób chcesz panna skłonić i muie do milczenia?

— W istocie usilnie proszę pana, abys nie wspominał o tem, w razie jeżeli będziesz pan jeszcze raz przed wyjazdem na folwarku. O błagam cię, panie, bądź dobrym, szlachetnym.

— Mniejsza o to, niech że więc i tak będzie! Mogę milczeć, lubo szczerze wyznaję, że bardzo mi przykro osłaniać tego rodzaju tajemnice...

— Tego rodzaju?... Jakiego rodzaju?

Cofnęła się z żywością i z wyrazem tak bolesnego zadziwienia, że młody dziedzic zmieszany się mocno i patrzył na nią wahający się i niepewny, czy ta dziewczyna, która jednym, jedynym słowem, jednym, jedynym poruszeniem tak wybitnie umiała okazać całą skalę wzburzonych uczuć, była doskonałą aktorką, lub też nieskażenie czystą, szlachetną, istotą?

Lecz w gniewnem oburzeniu uznał pierwsze przypuszczenie za jedyne prawdziwe. Bo czyż mógł wątpić? Czy owa przesadzona skromność, która jej kazała cofnąć się zawsze w tył, gdy się krokiem bliżej ku niej posunął, która ją oblewała rumieńcem, skoro ją ujrzał z odsłoniętymi nieco rękami, nie była najnędzniejszą komedią w obec niewątpliwego faktu, że u gajowego bywa codziennie rano i wieczorami, że nie ucieka nawet, gdy ten przyjmuje hałaśliwych gości. I obecnie miała jeszcze czoło prosić go o zachowanie tajemnicy, słodkim, drżącym z obłudnego wzruszenia głosem! A przytem ten niepojęty, niepokonany urok całej jej istoty, ta szlachetnie piękna, pełna wyrazu twarz, ocieniona bujnemi splotami ciemnych włosów! Henryk doznał w tej chwili dziwnego widzenia. Zdawało mu się, że zwinna, śliczna, mieniących się barw żmijka, wdzięcząc się i przymilając, skradała się ku niemu i że za chwilę z gniewem i bólem będzie musiał oderwać ją od siebie i zdeptać, zgnieść kamieniem.

— Gniewa pannę-nieco podejrzący sposób wyrażenia mych myśli?—zapytał ostro.—A więc dobrze, niech przyjemne dla panny wizyty na Granholz nazywają się wesołymi wycieczkami. Państwa swego nie masz się panna czego lękać. Żadne z nich dwojga nie wychodzi po za próg domu, ja zaś zobowiązałem się słowem do zachowania tajemnicy, muszę zatem milczeć, jak gdybym miał

zakneblowane usta. Pozostaje więc tylko jedna osoba: sawantka, która dla zabaw panny może się stać niebezpieczną przeszkodą. Nie jest ona uwięzioną w swym poddaszowym pokoiku i ma nadzwyczaj szybkie nóżki, jak się przekonałem o tem wczoraj wieczór. Unosi się lekko jak wieszczka i umie w mgnieniu oka zniknąć, niby lekki obłoczek letni, który wiatr rozwieje wśród błękitów. Otóż panna guwernantka w angielskim kapelusiku, mogłaby w każdej chwili ukazać się tu, a wtedy coby się stało?

Na ustach dziewczyny ukazał się zaledwie dostrzegalny uśmiech; pochyliła się po nad źródłem i uniosłszy nieco dzbanek, napełniony aż po same brzegi, posunęła go dalej, aby zapobiedz możebnemu upadkowi.

— Już powiedziałam panu, iż panna guwernantka wie zawsze i o wszystkim, co tylko czynię—odrzekła, zajeta wciąż bezpiecznem ustawieniem dzbanka.

— Tak jest, powiedziałaś mi to już panna—potwierdził Henryk.—Zresztą jest to zupełnie naturalna rzecz, że panna guwernantka bierze pod swe skrzydła podobne tajemnice. Przecież romans jest ulubionym żywiołem tych dam, a jeżeli nie można oddawać się jego intrygom w salonach bogaczy, w takim razie zstępuje się choćby do niższych sfer—czyni się to jedynie z zamiłowania do szlachetnej sztuki. O, znam ja dobrze ową ciuchę, niedojrzałą, krecią pracę, w celu podkopania się pod gmach ludzkiego szczęścia! Naturalnie, najchętniej pracuje się na własny rachunek. Zda się, jakoby nie widziały, nie słyszały, a przecież wszystkimi porami wciągają w siebie każdą małą i wielką tajemnicę domową. Och, dochodzą one w tem do niepojętej zręczności! Nikt nie dosłyszcy ich pierwszych kroków, mających doprowadzić do celu, a jednak są to silnie i na pewno stawiane kroki. Następnie po mistrzowsku, cał za całem, wdrapują się coraz dalej i oto zajmują nagle w domu miejsce pierwsze; one pokorne, zapoznane, stają się odrazu wszechładnymi w obec płaczącej, zdradzonej narzeczonej, lub biednych córek owdowiałego ojca, oszalałego na stare lata. Czyż zaufana pokojówka, powiernica guwernantki w domu generała von Guseck, nie miałyby znać podobnych historii?

Dziewczyna stała wpół zwrócona ku źródłu. Raz uniosła rękę, ale natychmiast opuściła je znów, a teraz spojrzała ku mówiącemu, lecz nie z owym wyrazem urazy, który już kilkakrotnie widział. W czarnych oczach ukazały się jedynie: bolesne zadziwienie i pełen gorczy wyrzut, podczas gdy usta jej mówiły z ciężkim, trudnym do opisanego smutkiem.

— Owdowiały generał von Guseck miał już dorosłego syna i siedemnastoletnią córkę, która dotąd jest szczęśliwą narzeczoną. Wszyscy oni stali w stosunku serdecznej przyjaźni i szczerzego szacunku do guwernantki młodszych dzieci domu i uważali ją za należącą do rodziny. A ja wiem, że i guwernantka w zupełności zasługiwała na to zaufanie i nigdy nie nadużyła go żadną intrygą, nie wmieszała się w ich życie, choćby najłżejszą samolubną myślą. Tak... wiem o tem najlepiej i na udowodnienie prawdziwości mych słów, gotowam włożyć rękę w ogień.

— Ach zapewne! Tego jeszcze brakowało!—zawołał z nietajonem oburzeniem.—Biedną, ciężko spracowaną rękę włożyć w ogień i to dla tej kobiety, będącej wcielonym egoizmem!... Czyż nie ona przywlekła cię za sobą w tę pustynię na nędzę i brak wszystkiego, aby tylko rozgrymaszona strojnisia miała pod ręką usługę zręcznej pokojówki. Pocziwa jej ciotka sama przyznała, że nie jesteś panna stworzoną do ciężkiej pracy około uprawy roli, a przecież z niepojętem dla mnie poświęceniem pełniłaś wszelkiego rodzaju zajęcia w polu i w około domu, gdyż inaczej twoja uwielbiana dama umarła by chyba z głodu.

Wstrząsnęła z żywością głową i już otworzyła usta, ale zaraz zacisnęła je, spuściła ku ziemi głowę i mileżała. Widoczna było rzeczą, że jedynie przemocą wstrzymała się od mówienia.

— O nie trudź się panna nadaremnie! — odezwał się Henryk szyderez. — Nawet najwymowniej broniąc, nie potrafiłabyś usprawiedliwić swej pani. Znam ją ja daleko lepiej i nie dam się złudzić pozorem! Gdy tylko owe panie raz spróbują, jak słodko smakuje bogactwo, są już na zawsze zepsute i stracone nieodwołalnie dla cichych obowiązków domowego życia w klasie ludzi pracujących i niezamożnych, w klasie, z której przecież pochodzą. Wtedy też jedyną ich myślą, jedynym marzeniem, żądzą niepomaganą, staje się zdobycie owych bogactw, i w tym celu poświęca się wszystko, co im stoi na drodze; a łup ich: jakiś nieszcześliwy, bogaty człowiek, paść musi ich ofiarą, czy chce, czy nie chce, czy jest piękny, lub brzydki, rozwijający się dopiero jak kwiat wiosny, lub stary i spruchniały jak grzyb. Być może, że w domu generała von Guseck wiadano o tem dobrze i miano się na baczności, tak samo jak ja, który wolałbym całe życie zostać starym kawalerem, niż była guwernantkę uczynić panią mego domu, matką moich dzieci! O raczej ożeniłbym się z prostą, wiejską dziewczyną, byle tylko uczciwą i szczerze kochającą!...

Twarz służącej posesora pobladła mocniej jeszcze, ale pomimo to mileżała. Pochwyliła dzbane, chcąc się oddalić.

— A więc powracasz tam panna? — Wskazał głową w kierunku domu gajowego. — Zatem dzika hulanka nie ma dla ciebie nic odstrasżającego, nic wstrętnego?

Spojrzała na niego smutnym, poważnym wzrokiem.

— Mam silne nerwy, które w potrzebie potrafią znieść wszystko — odpowiedziała spokojnie. — Zresztą w tym razie nie idzie o to, czy chcę, lub nie chcę, czynię poprostu jedynie to, co powinnam uczynić.

— A zatem obowiązki już wiążą pannę do tego domu? — zapytał Henryk ponurym głosem. — Ale jakiego rodzaju są te obowiązki? — dodał żywiej i zapominając, że mówi do prostej dziewczyny, rzekł gniewnie. — Chcesz panna być osobą tajemniczą jak Sfinks Egipski, chcesz jak Sfinks rzucać zagadki! Mnie to nie nie szkodzi, ale mieszkańcy Hirschwinkiel nie są tak pobłażliwymi jak ich nowy dziedzic i rozwiązując je na swój sposób, surowo sądzą sługę, która nie pilnuje domu, młodą dziewczynę, biegającą bezustannie i o różnych porach do lasu, gdzie mieszka młody gajowy...

Henryk zatrzymał się mimowoli... Uczuł nagłą boleść, widząc jak jedna z rąk dziewczyny opadła bezwładnie w dół, a żywy rumieniec okrył całą jej twarz, czoło, szyję... Ze wzrokiem odwróconym wstydliwie stała przez chwilę nieruchomo, a delikatne linie jej pięknego profilu wydawały się rysami posągu, odbijającego się na ciemnym tle zielonych buków.

Na śnieżnie białej szyi biegła aksamitna wstążeczka, niby wąska, tuszem nakreślona, kreska. Młodzieniec mimowoli przypomniał sobie słowa Fausta: „Jak szczególnie tę piękną szyję zdobici musi jeden, jedyny czerwony sznureczek“ i nagle piękna dolina zwięzła się, zmieniając w ponury parów; dom gajowego z tajemniczą zagadkowych zobowiązań, które wiązały do niego młodą, piękną dziewczynę, stał się jaskinią czarnoksiężką, wydało mu się, że w jego murach miała się spełnić jakaś skryta zbrodnia.

A ona biegła tam w rozmaitych godzinach, jakgdyby wzywana, przywoływana siłą potężnego zaklęcia... moc magnetyczna pociągała ją w wir złowrogi. Nagła boleść przeszła serce młodzieńca na myśl, że nieszczęsna może tam wpaść w przepaść i zginąć na zawsze. O! takie czary istnieją i istnieć będą zawsze, czyż przecież nie ma dla nich żadnego odporu? Oto ta piękna, szlachetnie wyglądająca dziewczyna, stała teraz przed nim jak posąg przerażona, z rumieńcem cierpienia i wstydu na czole. Może ta ciężka,

pełna upokorzenia chwila odstraszy ją raz na zawsze od Grafenholzu? Spodziewał się tego, pragnął i z nieopisanym niepokojem wpatrywał się w mileżącą, ale ta podniosła nagle głowę do góry, w rysach jej przebiegało się ponure, niezłomne postanowienie.

— Nie dbam o nikeszemne potwarzel — rzekła krótko, spoglądając na niego z dumą.

Czy nawet wtedy, gdy uczeni ludzie zamkną przed panną drzwi? — zawołał z uniesieniem. — Oto Griebłowa stanowczo zaprotestowała przeciwko przeprowadzeniu się panny do dworu. — Obawia się złego przykładu dla swej niewinnej córki — dodał z niemiłosierną wyrazistością.

Zdawało się, jakby słowa te trafiły w samo serce.

Z niema boleścią załamała dziewczyna ręce, poczem z gwałtownością przycisnęła je do piersi, a jednak opamiętawszy się natychmiast, odezwała się z chłodną stanowczością: — Ta kobieta przeprosi mnie później za swą okrutną niesprawiedliwość. Zresztą nie ona rządzi we dworze. Pan jeden masz prawo rozkazywania, a pan nie każesz zamknąć przedemną drzwi...

— Tak? Tak panna sądzisz? — przerwał jej z gniewnym uśmiechem. — Proszę mi powiedzieć, za kogo mnie panna uważasz?

— Za kogo uważam pana? — powtórzyła, podnosząc na niego wielkie, czarne oczy. — Uważam pana za dobrego i szlachetnego człowieka. Jeżeli możesz, staraj się pan zapomnieć złych i niesprawiedliwych słów, które wypowiedziałam w zasłupieniu i w chwili rozdrażnienia. O, jakże bardzo wstydziałam się potem, dowiedziawszy się, w jakim zamiarze przyszedł pan na folwark! Zjawiłeś się jak anioł pociechy i ocaliłeś dwoje starych ludzi od nędzy. Gdybyś pan widział, jak biedna chora odżyła na nowo i uspokoiła się od chwili, gdy czuje się pod opieką pana! Już za to samo jestem panu wdzięczna, niewypowiedzianie wdzięczna... — Zamilkła, z niesmiałością wyciągając ku niemu rękę.

Ale jego ponura twarz nie rozjaśniła się wcale.

— O, bardzo proszę! — odezwał się surowo i z gwałtowną niechęcią usunął wyciągniętą ku sobie rękę. — Za co panna dziękujesz? Co może obchodzić pannę, która jako służąca chwilowo jesteś domownicą mego dzierzawy, jaki układ z nim zawarłem? Na tem panna wcale się nie możesz znać i nie powinnaś się mieszać do podobnych rzeczy. — Szorstkie te słowa wypowiedział głosem pełnym gniewu, wyniosłości i dodał:

— Co do dawnych oskarżeń mnie, proszę nie rób sobie panna kłopotu, zmieniając zdanie. Nie jestem dobrym, o z pewnością nie, a tem mniej w tej chwili właśnie, gdy czuję w sobie tyle złości, że mógłbym wszystko zburzyć w koło siebie. Na świecie tak trzeba gardzić mnóstwem ludzi, że się mimowoli zaczyna ich nienawidzić... o! tak nienawidzić. Gdybym mógł wyrządzić panie przykrość, nawet zadać jej boleść — uczyniłbym to bez namysłu i z największą rozkoszą...

Dziewczyna spojrzała na niego z trwogą — mówił tak głośno i gwałtownie.

— A przytem nie ukrywajmy prawdy! — ciągnął dalej łagodniej trochę, ale może dotkliwiej jeszcze. — Dziękujesz mi panna niby to za swoją chora i starą panią, a w duszy pewno myślisz o tej księżniczce, którą los powinien szczerze wynagrodzić za poświęcenie pięknych salonów generała, poświęcenie, którego ja jeden nie umiem należycie ocenić, gdy tymczasem tam, z kąd wyjechała, ludzie głoszą zapewne o jej ofierze, o jej wdzięczności, jak o sędzie uczucia i tkliwości serca, którego dowody mam tu przed oczyma. Czy nie należy nam uroczyste illuminować dwór w dniu, w którym raczy wprowadzić się do niego?

Dziewczyna uśmiechnęła się smętnie: — Biedne guwernantki! rzekła. — Gdyby to od pana zależało, zapędziłbyś je wszystkie do zamiatania, prania i gotowania, bo jako niezamożne, bez posagu kobiety, nie mają prawa do innego istnienia. Mężczyzna niebogaty może sobie zapewnić życie

szcześliwe przez naukę i zawód jakiś w tym kierunku, ale kobieta — nie...

— Tak... — kobieta nie może, nie powinna tego czynić, bo przyzwyczajawszy się do dostatniego życia, na opłatę którego nie ma gotowego kapitału, a tylko pracę swoją, musi się stać intrygantką polującą na bogatego męża. Czy tak pan mniemasz?

Henryk odpowiedział na zapytanie potwierdzającym, szyderezem ukłonem, a dziewczyna coraz żywiej wzburzona, zawołała prawie namiętnie. — Nie zmieniaj pan, o! nie zmieniaj swego zdania... Czyż kobieta jest w stanie czuć godność osobistą, czy kobieta chce zawdzięczać pracy tylko życie, odpowiadające jej nawykniom i upodobaniom, jej wychowaniu i ukształceniu umysłowemu? Gdzież tam!... kobieta z natury swej jest intrygantką i zalotnicą. Tem tylko wojuje całe życie i zdobywa sobie wszystko... Czy tak?

Henryk czuł się jakoś zawstydzony i nie zaraz odpowiedział, lecz dziewczyna, bardzo wzburzona, nie zdawała się tego spostrzegać i rzekła: — A! prawda... tu chodzi szczególnie o guwernantki, które są ubogie, a grają rolę pań, gdy wedle pojęć pana, a może należałoby dodać: wedle pojęć ogólnie niemieckich, wszystkie kobiety niemagnatki są jednego stanu. Która sama nie pierze, nie gotuje z zamiłowania, z upodobania wrodzonego, jest potworem. Nie może już potem w chwili smutnej potrzeby spełniać uczciwie rodzinnych obowiązków. I do tej kategorii liczysz pan, p. Franz. Ale teraz gdy para biednych starców jest już zabezpieczona na resztę życia od nędzy, ta ich wychowanka będzie znów mogła zająć się swem powołaniem. Wprawdzie jeszcze przez jakiś czas będzie musiała przyjmować łaskawą gościnność pana, dopóki biedna chora nie odzyska nieco zdrowia...

— Mój Boże, co mnie to obchodzi! Żadne z nas nie wejdzie drugiemu w drogę. Ja za parę dni odjeżdżam, niechże więc siedzi sobie we dworze, dopóki tylko zechce. Ale panna?

— Ja? — Spuściła głowę ku ziemi, niby zastanawiając się nad odpowiedzią. Henryk straszliwie się oburzył na lekki, zaledwie dostrzegalny uśmiech, który twarz jej upiękzył niewysłowionym wdziękiem. Uśmiechać się w podobnej chwili! Widocznie ludzie mówili prawdę: była płochą i zepsutą miejską dziewczynę, która nabyła tylko między klassami wyższymi trochę zewnętrznej oglady.

— I ja pozostanę także — rzekła wreszcie, nie podnosząc oczu. — Gdy pan przyjmujesz jedną, musisz przyjąć i drugą

— Ach, tak panna sądzisz! Ale bardzo, bardzo się mylisz, i chyba — tu zatrzymał się, wpatrując się w jej twarz z najwyższym, prawie gorączkowym niepokojem — chyba, że usuniesz skrupuły uczciwej Griebłowej i przyrzeczesz mi uroczyście, że od tej chwili nie przestąpisz nigdy progów tego domu.

Wskazała na leśnicówkę, lecz ona znów podniosła głowę.

— Nie, tego nie mogę uczynić — odpowiedziała bez wahania, stanowczo i nieodwołalnie.

Oddalił się od niej, z oczyma pełnymi gniewu i nienawiści.

— A więc idź panna, swoją drogą! Nie strać więcej ani jednego słowa! aby cię nawracać — zawołał z uniesieniem. — Tylko jedną jeszcze rzecz mam do powiedzenia — przybliżył się znów i pochyliwszy się, dodał z dobitnością: — oto wiedź panna, że gardzę tobą...

Drgnęła najwyższym oburzeniem. Przez chwilę to dwoje mierzyło się nawzajem błyskawicami gniewnych spojrzeń, ale jeżeli młodzieniec brał łyż drzące na jej powiekach za dowód dziewiczej słabości i bezsilności, wówczas mylił się bardzo. Z dumnym, pełnym pogardy spojrzeniem odwróciła się od niego i powoli wzięła dzbane, dotąd stojący na cembrowinie źródła.

(Dalszy ciąg nastąpi)

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg).

Oto twój paszport, vicehrabio. Fitz-Geralda będzie pod nazwiskiem markiza de Grandlieu, francuzkiego emigranta, jak i pan. Wiedząc, że macie wsiąść na okręt w Killala i ztamtąd odpłynąć do Ameryki, korzystam z szczęśliwej sposobności, podróżowania w towarzystwie dwóch dobrych przyjaciół. Wszakże niezły pomysł jak na początkującego spiskowca, niemającego jeszcze dość wprawy?

Uśmiechał się smutnie i Tankred uściśnął mu rękę.

— Doskonali! — odparł — z góry możemy być pewni powodzenia.

— Do jutra więc! Och jakżebym pragnął, aby Edward znajdował się już po za obrębem wszelkiego niebezpieczeństwa! —

I natychmiast dla zapobieżenia wszelkiej zwłocze, wysłał kuryerów, aby na całej drodze zamówili przepręgę koni.

Nazajutrz pocztowa karetka, tak obszerna, że mogła pomieścić sześć osób, zabrała obu podróżnych.

Pat siedział na kozle obok pocztyliona. Dla nie budzenia podejrzeń, Reginald nie wziął żadnego służącego więcej.

Pożegnanie rodziny z Sir Edwardem było ciężko bolesne, Łucya zalewała się łzami, bo wiedziała, że nie ujrzy go już więcej. Lecz ona, nosząca nazwisko Lady Cornvallis, mogła towarzyszyć bratu bez zwrócenia niezwykłej uwagi, a przeciwnie jej obecność nadawała podróżny pozor spokojniejszy. W wielkiej pani angielskiej, niktby nie podejrzewał patriotki Irlandzkiej, odprowadzającej brata na wygnanie.

Anglikański biskup z Killala był blizkim krewnym sir Reginalda, i miał dorosłe córki. Że przytem związek Łucyi z sir Reginaldem potrzebował jeszcze być pobłogosławionym przez kapłana jego wyznania, pułkownik przemówił do księżny prośbą, aby pozwoliła jechać córce.

— Żona jest zawsze na miejscu, znajdując się obok męża — odpowiedziała z powagą. Dobrze więc, jedź moja córko.

I księżna była z tego rada, bo podróż ta zbliżała do siebie nowożeńców.

W kilka godzin później dzwonki pocztowych koni ozwały się znów przed żelazną kratą dworu. Ściemniło się już zupełnie.

Fitz-Gerald w obszernym płaszczu, zasłaniającym mu całą twarz wsiadł pierwszy do karety. Siostra zajęła miejsce obok niego. Naprzódzie zasiadł sir Reginald i Tankred.

Nastąpił ostatni, serdeczny uścisk i pocztylion zaciął konie.

Miano przebyć prawie całą szerokość wyspy, bo przeszło mil 60.

Pomimo że w owych czasach drogi znajdowały się w bardzo złym stanie, karetka przecież toczyła się szybko, zatrzymując się zaledwie po kilka minut dla przepręgi koni. Widocznie kuryerzy dobrze spełnili swój obowiązek, na stacyach wiedziano o przejeździe syna wicekróla, wszędzie więc okazywano niezwykły pośpiech.

Teraz dopiero pokazało się, jak bardzo obecność sir Reginalda była potrzebna. W każdym miasteczku stały znaczne oddziały wojska i wszystkie karety pocztowe były ściśle rewidowane, ta jedna przechodziła swobodnie. Niekiedy nawet,

podczas przepręgi koni przybywał służbowy oficer, aby powitać pułkownika i zapytać go, czy niema co do rozkazania?

Reginald rzadko kiedy wysiadał, poprzestając najęźciej na wychyleniu głowy przez drzwiczki. Około północy Pat podał do karety podróżny posiłek.

Edward ani na chwilę nie zdejmował płaszcza. Obok tego ogromna podróżna czapka, zakrywająca mu większą część twarzy zabezpieczała go od oczu ciekawych.

Zresztą i bez tych ostrożności trudno by go było poznać. Ogolił brodę i przebrał się w suknie wicehrabiego. Teraz nie był już Fitz-Geraldem, lecz margrabią de Grandlieu. Biskupowi miano go przedstawić pod tem nazwiskiem.

Tymczasem noc upływała. Była to przesłizczna, ciepła i gwiaździsta noc. Lasy, skały, malownicze widoki, w pośród spiesznej jazdy przesuwały się szybko przed oczyma, nabierały fantastycznego uroku. Irlandya, nieszczęsny kraj ruin, wydaje się najpiękniejszą przy blasku księżycyca.

To samo bywa w lecie o świcie. W żadnym innym kraju budzący się dzień nie jest tak uśmiechniętym, świeżym, wonnym. Zieloność, kwiaty, wody, odbicie się światła we mgle i kropkach rosy, mają w sobie coś prawdziwie czarodziejskiego.

Około dziewiętej godziny rano karetka zjechała z głównego gościńca i boczną drogą dojechała do przepysznych ale i olbrzymich, stuletnich wiązów. Na drugim jej końcu ukazywał się wspaniały przedsiónek starożytnego zamku.

— Nikt nie mieszka w nim w tej chwili — odezwał się sir Reginald — oprócz starego odźwierzaka, który go nigdy nie opuszcza. Kazałem poczynić przygotowania na nasze przyjęcie, gdyż chciał bym, abyśmy tam odpoczęli podczas kilku godzin największego upału. Będzie to najroztropniejszy, a przytem dla naszej towarzyszki podróżny najmniej nużący rozkład drogi. W tym zamku, będziesz pani jak u siebie — dokończył sir Reginald, kryjąc wzruszenie.

Łucya podziękowała mu wdzięcznym uśmiechem. Potrzebowała odpoczynku i snu, i zaraz po przybyciu udała się do oddzielnych pokojów, przepysznie umeblowanych.

Co zaś do trzech podróżnych, ci zjedli najpierw śniadanie; przed samym wyjazdem już o zmroku obiadowano.

Słońce zniknęło za widnokregiem, czerwonym jak krew. Chmury zabarwione po brzegach purpurą gromadziły się groźnie na czarnem niebie. Powietrze było ciężkie i przesycone elektrycznością. W godzinę później konie pędziły znów w pośród ciemności, które od czasu do czasu oświecały jaskrawe błyskawice.

W karecie panowało głębokie milczenie. Stosunek Fitz-Geralda do tego, który zwał się jego szwagrem, był z konieczności drażliwym. I Reginald nie czuł się śmiałym względem Lucy, tajona zazdrość Tankreda, także tu ciążyła; zapowiadała się też burza, przytem niebezpieczeństwo trwało zawsze, wszystko zatem przyczyniało się do smutku i niepokoju podróżnych. Każdy pragnął przybyć jak najprędzej.

Reginald spojrzął na zegarek — zbliżała się już północ.

— Baczość! — odezwał się. — Przybywamy teraz do stacyi najniebezpieczniejszej do przebycia.

— Dla czego? — zapytał wicehrabia.

— Najprzód, że jest to Wyspa Druidów i znajduje się w pośród dwóch mostów, nie ma więc możności do ucieczki w razie niebezpieczeństwa.

— A powtóre?

— Powtóre, dowiedziałem się w czasie ostatniego przepręgi, że straż na stacyi trzymają czarne ulany...

— Barona Homspach?

— Tak — dowodzi osobiście.

— Lecz wszak pan jesteś z nami? Wszak mamy paszporta?

— To wszystko prawda, przez ostrożność jednak uwiadamiam o tem państwo. Trzeba się mieć na baczności.

Po chwilowem milczeniu, Łucya zapytała:

— Ta Wyspa Druidów, czy nie jest tą samą, o której tak często wspominają nasze stare kroniki?

— W istocie — odrzekł Reginald — jest to miejsce ciekawe dla uczonych i cudzoziemców. Panie wicehrabio, jeżeli nie zwiedzałeś Wyspy Druidów, to zapewne czytałeś jej opisy, lub widziałeś ryciny?

— Widziałem — odparł Gaillefontaine — i przypominają mi one niektóre przyładki naszej Bretanii, gdzie dotąd jeszcze wznoszą się dolmeny i menhiry.

— Zapewniają — odezwała się znów Łucya — że wyspa posiada ich całe setki, tworzące tajemniczy labirynt. Najstarsze z pomiędzy nich, ukryte pod innemi, są zakopane bardzo głęboko w piaskach. Jest to święta góra naszych przodków.

— Oto jest zawołał Edward, wskazując przy świetle błyskawicy ogromny stos druidycznych kamieni, w pośród których niby widma kołysały się drzewa, silnie poruszane przez wicher.

— Czy wyspa jest zaludniona? — zapytał wicehrabia.

— Znajduje się tam tylko wojskowa stacya, dom pocztowy i — jeżeli mamy wierzyć ludowemu podaniu — tajemnicze groty, odwiedzane przez różnego rodzaju złośliwe duchy, jako to: Phooka, Courrighan i Elwy.

W tej chwili karetka przejechała przez pierwszy most.

Zaledwie potoczyła się po gruncie wyspy, a natychmiast z pośród siwych skał poczęły się ukazywać jakieś podejrzanе cienie. Rozlegały się krzyki, nie podobne do głosów ludzkich. Karetka została otoczona i niby wzięta szturmem przez tłum postaci, towarzyszący jej aż do samego pocztowego domu.

Tam dopiero, gdy pochodnie rozproszyły ciemności, pokazało się dowodnie, że nie były to nadprzyrodzone istoty, lecz po prostu pijani Niemcy, rozłakomieni żądzą rozboju i łupieżstwa.

Na progu koszar ukazał się godny ich dowódca, trzymając w rękę nieodstępną ogromną fajkę, w drugiej kij obilardu. Zrozumiał natychmiast co się stało i podskoczywszy do swych podkomendnych, zaczął grzmocić ich po łbach tak fajką, jak kijem, krzyząc.

— A wściekle psy! łakome kruki! nizezemne zbój! Czyscie zapomnieli już, że czekamy na przybycie syna wicekróla?

Czyż to nie było naiwne wyznanie, że każdego innego podróżnego baron Hamspach wydał by na łup niemieckiego łakomstwa?

Ułani z pokrąwionemi głowami zemknęli jak nie pyszni i ukryli się w ciemnościach nocy.

— Potłukłem sobie fajkę — odezwał się z tryumfem szlachetny syn Germanii — lecz kij bilardowy wybornie wytrzymał próbę. Donner Wetter! Co to były za sztopy i karambole!

Tymczasem Reginald nie chcąc go dopuścić do karety, wysiadł z niej sam, aby powitać dowódcę ulanów.

— Zeheciej przebaczyć, pułkowniku, ten zbytek gorliwości — odezwał się znów baron, z uniożonością, kłaniając się synowi wicekróla. — Ho, ho! Potrzeba zachować jak największą czujność! Tym razem nie umknie nam! Już go mamy!

— O kim pan mówisz? — zapytał Reginald.

Lecz Niemiec, jak by niedosłyszawszy pytania, mówił dalej z żywością:

— Wyobraź pan sobie, przed samym zachodem słońca zamierzaliśmy uderzyć i zniszczyć do szcztetu bandę zbiegów, usiłujących przebyć rzekę, gdy nagle otrzymałem mały bilecik w nim denuncyacyę, utrzymującą, że ptaszek ma się schronić na naszą wyspę. I w istocie spostrzegłem łódkę, płynącą ku wyspie, a w tej łódce przy pomocy morskiej lunety, poznałem go. Tak był to on z pewnością!

Biskup anglikański z ostatniego stulecia.

Kareta pocztowa pędziła szybko w pośród ciemności nocy.

Jednak zatrzymała się w drodze dwa razy.

Pierwszy raz na rozkaz oddziału konnicy, który zagroził jej drogę.

Byli to sławni strzelcy lisów, ci sami, którzy pod Kildare dopuścili się zdradzieckiej rzezi bezbronnym powstańców, ci sami, którzy teraz mieli wziąć udział w polowaniu na Dzikiego Ira i w podziale półmilionowej nagrody, przyrzeczonej za jego głowę.

Lecz skoro tylko sir Jocelyn poznał syna wicekróla, rozkazał natychmiast przepuścić karete. Pocztylion puścił konie klusem — pojechano w dalszą drogę.

Drugi raz zatrzymano się w głębi lasu, przy zjeździe z dość stromego wzgórza.

— Cóż to znaczy? — zapytał zniecierpliwiony sir Reginald.

— Zapewnie hamują koła — wyjaśnił Gaillefontaine, który otworzył okienko i aby je zasłonić, wychylił się.

W pośród gęstej mgły widział dwóch ludzi, którzy przybiegli do karety, jak gdyby pytając o coś, czy pomagając pocztylionowi, który zsiadł z kozła.

Trwało to zaledwie parę minut. Obcy oddalił się, ale Tankred który patrzył uważnie, poznał że jeden z nich wyrósł nagle o jakie pół głowy. Była to wysoka, wysmukła a silna postać Jakóba. Po odróżniającym się od Europejczyków biegu drugiego, Tankred od razu poznał Uncasa.

Prawdziwy Bob, odzyskawszy swą godność i płaszcz, wdrapał się z pośpiechem na kozioł i pojechano dalej galopem.

Reginald nie powziął najmniejszego podejrzenia. Nikt nie wspominał o Dzikim Irze, był więc przekonany, że w karecie wcale nie słyszano odgrzań barona Homspach. Noc minęła w pośród głębokiego milczenia.

O wschodzie słońca podróżni ujrzeli okolice dzikie jeszcze i posepniejsze, lecz niemniej malownicze. Tu nie spotykali już wiosek, a tylko gdzie nie gdzie nędzne chaty, rozproszone wśród stepów i skał. Ciągnęły się szeregi gór, niekiedy stromych i nagich, częściej odzianych bujną roślinnością. Od czasu do czasu błysnęły wody: stawy, strumienie, zielone doliny, rokoszne krajobrazy sielskie. A przecież była to Connaught, prowincya osławiona z ubóstwa. — Idź do Connaught, albo do piekła! — mówi znane przysłowie irlandzkie.

Powstanie nie wybuchnęło tu jeszcze, o tem wiedział Gaillefontaine — zadziwił się więc, ujrzawszy, że i tu zaprowadzono wojskowe środki ostrożności.

— Si vis pacem, para bellum — odpowiedział mu Reginald. — Użyliśmy środków ostrożności, aby uchronić tę biedną okolicę od okrutnych klęsk wojny domowej. Anglia nie pragnie wywoływać rozruchów, jedynie w celu karania ich następnie — jak nieraz czynią jej o to niesprawiedliwe zarzuty.

Słowa te zwrócone były wprost do Fitz-Gerald, który przecież nie odpowiedział na nie.

Na niewielkim wzgórzu ukazało się wreszcie małe miasteczko Killala i panujący nad niem pałac biskupi.

Była tu niegdyś siedziba jednego z królów Irlandyi. Stare mury, z wysokimi basztami na skrzydłach pochodziły z owej epoki: odziewały je mechy i bluszcze, a pod ich wspaniałym lecz ponurym cieniem nowe budynki wyglądały jeszcze weselej i powabnej. Z tyłu — jak odgadnąć było można, rozciągał się rozległy park, z przodu

główny podwórzec był obszerny, tam właśnie wjeżdżała kareta.

Dzięki wyjaśnieniom sir Reginalda, podróżni znali już biskupa. Doktor Stock — tak się nazywał — przez swą tolerancję, łagodność, miłosierdzie i prawdziwie ewangeliczne cnoty pozyskał miłość nawet katolików swej diecezji. Był on świętobliwym kapłanem, lecz zarazem miłym, przyjemnym, towarzyskim człowiekiem. Uczył przedewszystkiem własnym przykładem i to nie tylko w rzeczach dotyczących nieba, lecz także i stosunków ziemskich. Był wdowcem i miał sześciu dzieci, w pośród których było siedem dorosłych córek, nazywanych ogólnie siedmioma cudami Killala.

Uprowadzony o przybyciu gości, D-r Stock oczekiwał ich na ganku biskupstwa. Otaczało go prawie w całym komplecie jego potomstwo. Trudno wyobrazić sobie podobnego grona.

Córki biskupa były prawdziwie przesliczne. Najstarsza miała lat dwadzieścia dwa i przedstawiała prawdziwy typ dziewczyny w pełnym kwiecie urody.

A co za rokoszny kwiat! Zdaje się, że wilgotne powietrze, utrzymujące w Irlandyi tak bujną roślinność, przyczynia się również do bogactwa krwi dziewic, urodzonych na ziemi zielonego Erinu. Widać ją prawie, jak krąży różowa i jak gdyby świetlana pod białą i przezroczystą skórą. Wszybkie Irlandki, nawet angielskiego pochodzenia są słusze i wysmukłe, większa ich część ma bujne, piękne włosy jasno kasztanowate, oczy bywają duże, niewypowiedzianej słodczy, regularne rysy, a nadewszystko w twarzy, w ruchach, w całej postawie ową mają idealną czystość, ową szlachetną, pełną szczerości skromność, która zawsze zachwyca w młodych dziewczętach. Córki biskupa były tak podobne do siebie, że nie prędko można było rozróżnić je między sobą.

Chłopcy, mieli postawy męzkie i śmiałe, lecz byli równie pięknymi, jak panny. Ojciec zdawał się mieć około sześćdziesięciu lat i dotąd zachował zadziwiająca świeżość cery, przy śnieżnej białości włosów. Wysoka postawa, przy umiarkowanej tuszy i poważnym, lubo pełnym serdeczności układzie, nadawała mu godność, odpowiednią jego dostojnemu urzędowi. Wszystko w jego osobie i całym domu świadczyło o owych prawdziwie biblijnych obyczajach, które odznaczają anglikańskich kapłanów. Porównywano go do patryarchów i on sam często przyrównywał się do nich.

— Kuzynie — odezwał się do sir Reginalda. — bądź pozdrowiony pod dachem Abrahama i zechciej, proszę cię, przedstawić mnie tej, którą wybrales na towarzyszkę życia.

Ale wbrew wezwaniu przedstawiono nie jego Łucyi lecz przeciwnie ją biskupowi.

— Drogie dziecię moje — rzekł wznosząc ku niebu piękne, białe ręce — kapłan Boży błogosławi cię najpierw, pozwól przecież aby krewny uścił cię następnie.

Poczem powierzając ją gościnności dwóch starszych córek, dodał.

— Zuzanno, Noemi, — zaprowadźcie waszą kuzynkę do pokojów, któreśmy przeznaczili dla niej. I wszystkie trzy oddaliły się w głąb domu.

Tankred i Edward na wezwanie Reginalda zbliżyli się dla powitania biskupa.

— W moim liście, drogi wuju — odezwał się ten ostatni — przedziłem cię o przybyciu tych panów. Markiz de Grandlieu, wicehrabia de Gaillefontaine, obaj emigranci francuzcy...

(Dalszy ciąg nastąpi)

— On? Co za on?

Baron Homspach był tak zaciekle w opowiadaniu, że nie dał należytej odpowiedzi. — On... odparł i ciągnął dalej, jak przykro mu było wrzec się drugiego zwycięstwa, jak wahał się co uczynić? gdy nagle na najwyższym dolmenie ujrzał zuchwałą postać, wyraźnie rysującą się na jaskrawem tle zachodzącego słońca. — Do kroć set dyabłów — opowiadał gestykulując — pokusa była zbyt wielka, abym się mógł jej oprzeć! Przeklęty śmiałek zdawał się mnie wyzywać... Tamci uciekli, ale mniejsza o nich, złapiemy ich później, a przedewszystkiem należało jego uchwycić! To mój osobisty wróg! A zresztą głowa jego warta pół miliona! Smaczny kąsek!

I baron zacierał ręce z uciechy.

— Lecz baronie o kim mówisz? — nalegał sir Reginald, domyślając się już teraz wszystkiego.

— O Dzikim Irze! półkowniku — o Dzikim Irze... to był on...

Reginald obrócił głowę ku pocztowej karecie. Prawdopodobnie musiano słyszeć w niej wszystko. Oddalił się jeszcze o parę kroków dalej.

Tymczasem stajenny przeprzął konie przy pomocy i pod nadzorem nowego pocztyliona.

Tankred pozostał w powozie.

— Czy słyszałeś? zapytał go Fitz-Gerald po eichu.

— Co do słowa — odparł wicehrabia. — Jakób poświęcił się dla ocalenia towarzyszy!

— O, dzielny ten brat nasz! — szepnęła Łucya. — Szlachetne serce!

Przytłumiony głos, odzywający się przez otwarte drzwiczki, rzucił im następujące trzy słowa: — Zgadliście! Dziękuję wam!

Był to nowy pocztylion, przechodzący właśnie w swym ogromnym płaszczu i w kapeluszu z wielkimi skrzydłami, zupełnie zasłaniającemu mu czoło i oczy.

Na chwilę uniósł głowę do góry tak, że latarnia karety oświeciła piękne, męzkie oblicze Dzikiego Ira.

Łucya zaledwie zdołała powstrzymać okrzyk zadziwienia, w którym niepokój i radość łączyły się zarazem.

Tankred wysiadł z karety i już przy łbach koni zbliżył się do zbiega, który przed chwilą przyzwał go do siebie skinieniem.

— Uspokój ich — szepnął zaledwie dosłyszalnym głosem — wszędzie mam przyjaciół. Jednym z nich jest poczciwy pocztylion, któremu na połowie drogi oddam pożyczony mi ubiór. Milczenia!

Właściciel poczty ukazał się na progu domu.

— Hej, Bobie! krzyknął gromko. Czy już jesteś gotów?

Pocztylion, wdrapując się na kozioł, mruknął pewien rodzaj potwierdzającej odpowiedzi.

W tej chwili sir Reginald zbliżył się w towarzystwie barona Homspach.

— Z niecierpliwością czekam — mówił ten ostatni — na przybycie sir Jocelyna i jego strzelców lisów, którzy potrafią przeszukać wszystkie nory Wyspy Druidów. Donner wetter! Dzikie Ir nie wyjdzie ztąd żywcem!

Gaillefontaine zajął znów swe miejsce w karecie, za nim wsiadł sir Reginald, życząc zawziętemu Niemcowi powodzenia w zamierzonym polowaniu.

Natychmiast zamknięto drzwiczki karety i pocztmistrz dał znak do odjazdu. Pocztylion zaciął konie biczem.

— All right! — zawołał półkownik czarnych ułanów.